Nr. 80. 611 Lwów — Sobota dnia 8 Kwietnia. Rok 1893

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 1.
„ przy ul. Słowackiego (obok Hot. Ziemi).
„ Niemojewskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Miśtalowskiego Hotel Żorża.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi:
Miesięcznie złr. 1.10; Półrocznie złr. 6
Kwartalnie „ 3.— Rocznie „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazem. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 3 „
za tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . 2.. „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Dyonizego — Subota wełyka
Jutro: A. 1 Biała Maryi E. — Woskr. Hosp.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 5 m. 33
Zachód „ „ 6 „ 33

Długość dnia g. 13 m. —
Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 kwietnia.

Na temat nieponętny, ale modny z łaski Panamy, musimy dziś pisać: — o kradzieżach nieco. P. Vallé, sprawozdawca śledczej komisyi parlamentu francuskiego, oświadczył: „Sumiennie badaliśmy zarzuty, podniesione na chybiłtrafił, bez żadnych faktycznych lub choćby tylko moralnych dowodów. Dokładnie przestudyowaliśmy dokumenta sądowe i bankowe. Przesłuchaliśmy mnóstwo świadków i rzeczoznawców. A w rezultacie cóż mamy? Nic! Ani jednego winnego. Ani śladu rozszarpywania funduszów publicznych. Wiele hałasu o nic, — oto tytuł tej farsy, zwanej sprawą panamską.“

A jednak siedmset kilkadziesiąt milionów gdzieś się ulotniło i czterech ludzi pokutuje w więzieniu za dawanie łapówek. Nie ma tylko łapowników. Krzyk, że oni byli, to jedynie wiele hałasu o nic.

Przypomina to nam jedno podanie istniejące w Rosyi. Pewnego razu urzędnicy wzięli się za ręce i urządzili wspaniałe przedsiębiorstwo. Urzędnicy ministeryum spraw wewnętrznych wymyślili dwa bardzo odległe od siebie miasta, których zarządom, policyantom i innym urzędnikom kasa państwowa regularnie wypłacała pensye; urzędnicy ministeryum komunikacyi zbudowali między temi miastami szosę i na utrzymanie jej co roku wstawiali do budżetu znaczne kwoty; urzędnicy pocztowi zorganizowali na tej szosie konną pocztę, która woziła dużo podróżnych i kosztowała bardzo drogo; urzędnicy sądowi otworzyli w tych miastach instytucye sądowe i sędziom regularnie płacili pensye i dyety komisyjne; ministeryum wojny utrzymywało tam załogi; a ministeryum finansów otworzyło swe kasy. I trwało tak lat kilkanaście, aż jakiś wypadek przekonał cara, że nie ma ani tych miast, ani szosy, ani żadnej zgoła rzeczy. Śledztwo wykryło, że winowajcy zmarli, a ich następcy o niczem nie wiedzieli: co roku asygnowywali pieniądze, bo to samo czyniono przed nimi, a gdzie się podziały te sumy, to już nie ich rzecz.

Kubek w kubek to samo jest ze sprawą panamską, albo z inną, wykrytą teraz przez prezesa bułgarskiego sobrania, p. Petkowa. W dokumentach dyplomacyi rosyjskiej, wydanych przez Jacobsohna, jest wzmianka że książę Aleksander Battenberg pobierał od cara przez lat dziesięć subwencyę, wynoszącą 100.000 rubli rocznie. W innym dokumencie powiedziano, że car głównie dlatego tak ostro obszedł się z księciem Aleksandrem, iż jako od jurgeldnika swego, miał prawo żądać odeń ślepego posłuszeństwa petersburskim rozkazom. Książę jednak nie brał ani centa i nawet nic nie wiedział o istnieniu tych pieniędzy, a gdy w roku 1889 jakiś dziennik niemiecki wspomniał w petersburskiej korespondencyi o tym corocznym datku, to książę energicznie zaprotestował w *Grazer Ztg.*. Mając te dane, Petków zaczął rzecz badać i teraz ogłasza w *Swobodzie*, że istotnie skarb rosyjski co roku dawał sto tysięcy dla Battenbarga, lecz te pieniądze grzęzły gdzieś w Petersburgu, a gdzie? — nie wiadomo. Winowajców nie ma.

To samo we Włoszech. Rzymskie dzienniki podają rezultat sądowego śledztwa w sprawie bankowej i raport ministeryalnego delegata p. Martuscelli'ego o rewizyi banków toskańskich, neapolitańskiego i sycylijskiego. Okazało się tedy, że te banki nie mają metalowego zapasu na pokrycie wypuszczonych banknotów; że papierowych pieniędzy wypuściły one dwa razy więcej, niż miały prawo wypuścić; że zdublowanych banknotów, t. j. mających tę samą seryę i ten sam numer, kursuje z łaski banków na 60 milionów lir; że wpływowym osobom dawano hipoteczne pożyczki, oparte na posiadłościach ziemskich, opisanych jak najdokładniej i ocenionych bardzo skrupulatnie, ale mających tę jedną wadę, iż ich całkiem nie ma na kuli ziemskiej; że wreszcie różni wpływowi parlamentarzyści mieli w tych bankach otwarte rachunki prowadzone tak, że n. p. pewien pan posiada całego majątku 40 tysięcy lir, a miał otwarty rachunek na trzy miliony, które też zabrał. Znaleziono stosy weksli, wystawionych przez ludzi niemajętnych, ale wpływowych, te zaś weksle są żyrowane przez osoby fikcyjne. Tak roztrwoniono 33 milionów. Były także przedsiębiorstwa bardzo oryginalne. I tak jeden bank toskański utopił swe kapitały w bagnach lombardzkich, a przez kilka lat był głęboko przekonany, że dobywa tam rzeźbiarski marmur. Bank rzymski pożyczał pieniądze na nowe zbudowane gmachy, których teraz niepodobna znaleźć w całym Rzymie, a na tę doskonałą spekulacyę wydał tylko 12 milionów. Bank sycylijski wypuścił banknotów fałszywych, które zamawiał u sztycharzy londyńskich, tylko na milion, ale musiał to robić, bo bryganci żądali od dyrektorów pieniędzy, grożąc morderstwem; więc dyrektorowie płacili tym rabusiom fałszywymi banknotami i byli głęboko przekonani, że taniej i lepiej postąpić nikt nie potrafi. Tymczasem postąpiono z nimi ostro: zawieszono ich w urzędowaniu i oddano pod sąd. To też prezes tego banku książę Della-Verdura ogłosił list otwarty, w którym surowo potępia niegodziwe zachowanie się rządu — niedołężnego, gdy trzeba bronić obywateli od band zbójeckich, a bardzo bezwzględnego z tymi obywatelami, gdy oni zatykają gardła rabusiom banknotami bez wartości.

Ogólna strata włoskiego narodu na wszystkich tych operacyach wynosi paręset milionów. Niektórzy parlamentarzyści, już po wykryciu nadużyć, pośpieszyli wykupić swe weksle, które nigdy nie były protestowane, bo banki przyjmowały je z grzeczności dla wpływów i wcale nie myślały realizować. W ten sposób 48% pożyczek wekslowych wróciło, ale jest to mała cząstka roztrwonionych kapitałów. Nieszczęścia naprawić nie można, co przepadło, to nie wróci, więc Włosi nie chcą robić niepotrzebnego skandalu. Dyrektorowie banków, już będący w więzieniu, pójdą przed sąd, bo nie ma innego wyjścia, lecz innych winowajców rząd szukać nie myśli, a parlament z nim się zgadza. Włosi są mistrzami w tem, co oni nazywają *una combinazione* i co tak namiętnie lubią, jak swą polentę i makarony. Jakoś poklajstrują, załatają, będzie wilk sprawiedliwości syty, a owca spekulacyi cała, byle znaleźć jakąś sprytną kombinacyę, przeciw której najczerwieńszy radykał nie zaprotestuje, bo będzie zachwycony subtelnością tej *combinazione*. Dotąd jej nie wymyślono, ale naród wierzy w swój geniusz, wie, że koniecznie znajdzie się *una combinazione* i dlatego najspokojniej przyjmuje banknoty, choć wie, że między nimi połowa fałszywych.

Te bezczelne kradzieże na setki milionów i ta pobłażliwość, z jaką wszędzie rządy i społeczeństwa patrzą na łupieżców publicznego majątku, to znamienna cecha naszych czasów. Całe pokolenie współczesne tak się wychowało w szkołach bez religii, w państwach bez moralnych zasad, że bez serdecznego oburzenia, ale raczej z burzliwą zazdrością patrzy na tych, co się tak suto obławiali. Są to kwiaty na łodydze bezwyznaniowego liberalizmu, — nie ostatnie jeszcze, ale już przedostatnie słowo tej doktryny, wprowadzonej w życie. Maluczko, a legalny rozbój na otwartej drodze ukoronuje epokę bezwyznaniowego liberalizmu. Szczęśliwe kraje, które w takim postępie cokolwiek się spóźniły!

Nowe ministeryum przyjęto we Francyi bardzo oziębłe. Nazwano je gabinetem mierności i osądzono, że potrwa kilka, najwięcej kilkanaście tygodni, a już w żadnym razie nie może przeprowadzać wyborów, które najpóźniej odbędą się za pięć miesięcy. Złożony jest ten gabinet z radykalistów i skrajnie postępowych republikanów, więc nie ma w nim przedstawicieli środka republikańskiego, ani republikańskiej unii, ani oportunistów, ani nawet stronnictwa agrarzystów. Rzecz naturalna, że te wszystkie obozy nie chcą, aby taki gabinet, w którym one nie mają swych delegatów, przeprowadzał wybory. Również senat jest obrażony, że do gabinetu wszedł tylko jeden senator, nikomu nie znany prowincyonalny adwokat Guérin, któremu dano niewpływową tekę sprawiedliwości. Ponieważ zniesienie senatu jest marzeniem radykalistów, przeto w tem pominięciu senatorów przy formacyi gabinetu ujrzano zamach na powagę i polityczne znaczenie tej wyższej izby. Ona też pospołu z obozami republikańsko-umiarkowanymi zamierza przy pierwszej sposobności obalić nowy gabinet, noszący podwójną nazwę Dupuy-Develle'a.

Carska rodzina osiedliła się na parę miesięcy do Liwadyi, która się składa wyłącznie z carskich budynków i ogrodów, tuż pod kąpielowem miasteczkiem Jałtą, gdzie teraz przybywa ex-królowa serbska Natalia. Donoszą stamtąd, że Natalia wkrótce będzie przyjęta przez carską parę i zapowie wizytę swego syna króla Aleksandra; potem carewicz w imieniu rodziców będzie ją rewizytował.

Następnie przyjedzie z żoną rumuński królewicz Ferdynand, o czem dziś donoszą z Bukaresztu, zastrzegając się przeciw dawaniu politycznego znaczenia tym odwiedzinom. Po prostu będzie to akt familijnej grzeczności. Żona królewicza, z domu księżniczka edynburska, jest jak wiadomo siostrzenicą cara.

Nieszczęśliwy na Bosforze wypadek, o którym doniósł wczorajszy telegram, owo zatonięcie parostatku z kuchnią sułtańską, przewożoną ze Starego Seralu (Top-Kapu-Serai), gdzie padiszach odprawiał ramadan przed płaszczem proroka Mahometa, do stałej rezydencyi sułtańskiej w Yildis-Kiosku, — ów nieszczęśliwy wypadek dał powód do pogłoski, że był to zamach na sułtana. Niedorzeczność tego przypuszczenia jest widoczna, bo sułtan boi się wody i nigdy statkami nie jeździ. Tym razem wrócił on do domu karetą, otoczony szwadronem pałacowej gwardyi, a wrócił o kilka godzin przed katastrofą, o czem całe miasto wiedziało.

KORESPONDENCYE.

Warszawa 1 kwietnia.

Prawdziwe „Prima aprilis“ urządziła nam tego roku wiosna, dziś bowiem rano Warszawiacy przetarłszy ze snu oczy ujrzeli, że potoki światła słonecznego zalewają miasto, ale kto zwiedziony tym pozorem wychylił się po za drzwi domu w wiosennej zarzutce, ziębnięty cofał się co prędzej i wdziewał płaszcz zimowy, albo nawet futro. Gdyż słońce prawdziwie prima aprilisowe świeciło ale nie grzało. Wcale dotkliwe jednakże zimno nie powstrzymało publiczności od tradycyjnej pielgrzymki po Bożych Grobach. Wczoraj i dziś snują się po kościołach tłumy. Boże Groby w tym roku poodświeżane po większej części, wspanialej wyglądają, a uroczystość odbyła się o wiele poważniej aniżeli lat poprzednich z rozporządzenia bowiem arcybiskupa zaniechano teatralnych śpiewów po kościołach.

Wraz z postem zakończył się szereg odczytów, urozmaicających nam rozpamiętywanie. Godnymi uwagi były odczyty inżyniera p. Szawłowskiego p. t. „Co to jest postęp?“, a ciekawymi były dlatego, że p. Szawłowski „pozytywista“ i „postępowiec“ stanął w obronie kościoła, rodziny i wykazywał, jak niepostępowemi jest wiele żądań radykalnych stronnictw. Największem jednakże powodzeniem cieszyły się jak to już pisałem, odczyty dr. Ochorowicza „O tajemnicach kapłanów egipskich“. Najsilniejszym niewątpliwie magnesem było tu samo nazwisko prelegenta znanego z ogromnego talentu popularyzatorskiego, lecz do powodzenia jego odczytów przyczynił się niewątpliwie jeszcze inny żywioł, którego sobie p. Ochorowicz nie życzył. Mowa tu o coraz gęściej grasujących wśród publiczności warszawskiej praktyk spirytystycznych i okkultystycznych. Spodziewając się, że dr. Ochorowicz w odczytach swoich będzie mówił o wywoływaniu duchów i tym podobnych sztuczkach, pospieszyły na jego odczyty rzesze niepowołanych, którzy zamiast pozostawić badanie zjawisk spirystycznych mężom nauki, puszczają swe myśli na manowce w ślad wirujących stolików i piszących ekierek. Zwolenników tych „nauk tajemnych“ jest w Warszawie dosyć, tworzą oni „kółka“ i „kółeczka“, wydają ulotne broszurki w swym przedmiocie, a nawet uzyskały poparcie jednego z pism codziennych, polujących na sensacyę.

Chorobliwy ten objaw poczyna niepokoić poważniejsze umysły, a nawet jedno z tutejszych pism *Biesiada literacka* wystąpiła z pięknym artykułem przeciw tej manii, środek jednak podany przez nią niezupełnie odpowiada celowi, redakcya bowiem wspomnianego pisma proponuje znowu czytelnikom, aby nadsyłali jej opisy snów, widzeń i rozmaitych objawów niby spirytystycznych, w tym celu, aby na podstawie takich danych można było wykazać czczość okkultystycznych mrzonek, tymczasem urzeczywistnienie takiego projektu mogłoby się raczej przyczynić do rozpowszechnienia wśród publiczności szkodliwego prądu. Trudno tu wynaleźć jakieś lekarstwo, prócz wyrabiania w sobie a przedewszystkiem w młodem pokoleniu woli i przyzwyczajania umysłów do jasnego, trzeźwego pojmowania rzeczy, do czego w religijnem wychowaniu zgodnie z p. Szawłowskim widzimy sposób.

Też same środki co przeciw spirytyzmowi pomogłyby niewątpliwie i przeciw utracyuszowstwu warszawskiemu. Miliony przepływają u nas przez handelki i kawiarnie w których śpiewają szansonistki. Jak olbrzymiemi muszą być zyski właścicieli takich zakładów, świadczy o tem wysokość pensyi, pobieranych przez „artystki“. Największy popyt wśród szansonistek mają Angielki, dalej idą Francuzki, Rumunki, Włoszki, Węgierki, najtańsze zaś są Niemki.

Pensye dobrych szansonistek francuskich lub angielskich obliczają na dziesiątki tysięcy rubli rocznie. W Warszawie n. p. po kilka miesięcy bawią szansonistki, pobierające po 800 rubli miesięcznie, prócz zwrotów kosztów podróży pierwszą klasą z wszelkiemi wygodami, a nie mówimy już o rozmaitego gatunku „gwiazdach“, które nieraz bajońskie sumy zgarniają. Obecnie n. p. bawi w Warszawie trupa szansonistek, złożona z 10 osób, najwyższe gaże w niej wynoszą po 800 rubli miesięcznie, a najniższą płacę mają dwie Niemki, które pobierają po 250 rubli na miesiąc a nadto wszystkie dostają mieszkanie i całe utrzymanie za darmo, toteż każda z tych „dam“ zebrała już sobie sporą fortunkę, wozi ze sobą biżuterye warte po kilkanaście tysięcy rubli, a nawet jedna z nich wozi ze sobą po Europie wierzchowca, którego kupiła w Londynie za 2000 funtów szterlingów, co na wasze pieniądze wyniesie około 25000 złr. Tysiące pierwszorzędnych artystów lub literatów może pozazdrościć powodzenia takiej szansonistce.

Dnia 27 i 28 marca wielki świat finansowy miasta Łodzi urządził sobie prawdziwą pielgrzymkę do Piotrkowa. Wabiła ich tam nielada ciekawa sprawa, stawał bowiem przed sądem jeden z nich Juliusz Heinzl, potentat finansowy, dziedzic milionowej fortuny, posiadacz fabryk i właściciel wsi, którą zakupił za drogie pieniądze, urządził na wspaniałe letnie siedlisko i od imienia swego nazwał Julianowem. Heinzl przed dwudziestu jeszcze laty był prostym tkaczem, dorobiwszy się jednak olbrzymiej fortuny, postanowił blask swego złota podnieść tytułem, zakupił więc w księstwie Sachsen Koburg-Gotha dobra, do których przywiązany jest tytuł baronowski i obdarzony został przydomkiem: „Juliusz baron Heinzl von Hohenfels“. Ale istnieje w Rosyi prawo, że poddanym carskim nie wolno używać tytułów obcych bez specyalnego na to pozwolenia. P. Heinzl też podał o to pozwolenie, niecierpliwy jednakże przed otrzymaniem go jeszcze używał tego tytułu. Nad bramą wjazdową Julianowa umieścić kazał baronowski herb, takim samym herbem i tytułem opatrzył swoje bilety wizytowe i służbie kazał siebie tytułować „panem baronem“. Skoro fakta te doszły uszu władzy, wytoczono Heinzlowi proces, po przesłuchaniu świadków, przemowie prokuratora i obrońcy, sąd wydał wyrok uniewinniający Heinzla a to z tego powodu, że po pierwsze nie przedstawiał się on i nie korzystał z przywilejów barona rosyjskiego, a powtóre, że zrobił podanie o potwierdzenie tytułu.

Drugi ciekawy proces, który znów rozegrał się w Warszawie, był echem zbrodni, popełnionej przed dwoma laty. Jako oskarżony o zamordowanie emigranta niejakiego Piotra Kosakowskiego stawał objeżczyk Simonow i pastuch z Lewiczyna w powiecie Mławskim, Burhacki, za to, że wiedząc o zbrodni, nie doniósł tego sądowi. Z zeznań świadków i obwinionych i z listów znalezionych przy zamordowanym, przebieg sprawy przedstawia się w następujący sposób:

Piotr Kosakowski wyemigrował był z Królestwa do Ameryki, pragnąc dorobić się majątku, a po kilku latach zatęsknił za rodziną, postanowił więc wrócić w rodzinne strony, zaopatrzony w znaczną sumę pieniędzy. Przybywszy do Prus, zatrzymał się we wsi Dwukoły u włościanki Jankowskiej, czekając czy mu się nie nadarzy jaki przewodnik, aby go przeprowadził przez granicę. Tymczasem pewnego dnia zjawił się objeżczyk Simonow przed Burhackim i zaproponował mu, aby wynalazł po stronie pruskiej kogoś, coby chciał przejść tajemnie granicę. Widocznie słyszał już o Kosakowskim i zagiął na niego parol. Burhacki wypełnił to polecenie: poszedł do Dwukołów, tam spotkał Kosakowskiego i umówił się z nim, że za cenę pięciu rubli przeprowadzi go za granicę. Puścili się też wnet w drogę. W lesie jednakże, pomiędzy czwartym a piątym oddziałem straży w Lewiczynie, spotkali się oko w oko z Simonowem. Objeżczyk dobył rewolweru i począł go nabijać.

— Stój! — zawołał na przemykających się, a kiedy obaj oni się zatrzymali, powiedział do Burhackiego:

— Ty idź sobie precz!

Burhacki więc oddalił się ku pastwisku, gdzie pilnował bydła jego towarzysz Teofil Bielecki. Wkrótce odezwały się dwa strzały, Bielecki, który wiedział, że Burhacki przeprowadza kogoś przez granicę, domyślił się odrazu, że to emigranta zastrzelono. W małą chwilę potem zjawił się Burhacki.

— Jakto? — zapytał go Bielecki — zostawiłeś człowieka obcego w lesie, nie troszcząc się co się z nim stanie?

— Robiłem tak nieraz — odrzekł Burhacki — i nigdy się mi nic złego nie stało. Dawniej się nikt nie dowiedział, i nie dowie się teraz.

Simonow tymczasem zabiwszy Kosakowskiego, zagrzebał ciało jego pod suchymi liśćmi i gałęziami, gotówkę zabrał, a węzełek z rzeczami ukrył w lesie. Potem wszystkie te rzeczy gdzieś się podziały. Ale niedługo ukrywała się zbrodnia. Simonow upiwszy się wygadał wszystko, a to zawiodło go do więzienia. W śledztwie i podczas rozprawy tłómaczył się on w ten sposób, że spostrzegłszy kogoś przekradającego się, chciał go zatrzymać, puścił się za nim w pogoń i dla postrachu zaczej strzelił dwa razy z rewolweru. Nieznajomy padł na ziemię z okrzykiem „Jezus Marya!“ wkrótce potem jęki ucichły. Simonow zbliżył się do rannego, dotknął dłonią jego czoła i przekonał się, że nieznajomy nie żyje. Przerażony tym wypadkiem zagrzebał trupa, przetrząsnąwszy wprzód jego kieszenie. Pieniędzy jak zaręcza, znalazł tylko 10 rubli w

---

131)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Tę pustynię, pełną ruin i szkieletów, przebiegali wzdłuż i szerz pan Władysław i Bakłanowski, napróżno szukając szamilowych branek. Nie znalazłszy ich w Dargu, pobiegli do miurydzkiego obozu nad Sułakiem, potem przetrzęsli wszystkie wąwozy, pieczary w lasach, baszty na urwistych skałach, zgoła każdy zakątek — i wszystko nadaremnie: przepadł wszelki ślad branek. Z zakrzepłym bólem w piersiach, wychudzeni, prawie czarni od palących wichrów, do upiorów raczej podobni, niż do żywych ludzi, nie dawali oni sobie spoczynku, jak w sercach ani na chwilę nie mieli spokoju. Tyle się przecie dowiedzieli, że Olgerode nie był od nich szczęśliwszy, ale czego się dotąd nie stało, to się dziś, jutro stać mogło, bo wszakże niedarmo razem z brankami przepadł Nachodka, jak kamień w wodzie. Nie ulegało wątpliwości, że on z Olgerodem był w porozumieniu i za jego zgodą przeszedł do miurydów, aby wykraść Anulkę. Dotychczas wszakże tego nie uczynił — i oto w tem była jedyna nadzieja pana Władysława, że jeszcze nic straconego; był w tem i bodziec do dalszych poszukiwań.

Więc czynił je bez wytchnienia, z tym szlachetnym uporem, który w ludziach silnego charakteru wzmaga się w miarę doznawanych zawodów i przeszkód. Wciąż myślał nad zagadką, gdzie może być Anulka, więc po długich mozołach nagle rozjaśniło mu się w głowie i błysnęła myśl tak prosta, że sam się zdziwił, dlaczego mu ona przedtem nie przyszła. Cały się wstrząsnął, konia osadził na miejscu i żywo spytał rotmistrza:

— Jak sądzisz, dlaczego Olgerode stanął bokiem do miurydów i prawe swe skrzydło wysunął w głąb Dagestanu, prawie za plecy Szamila? Przecie atakować go nie może, a sam się strasznie naraża?

— A lichoż wie, co takiemu pludrowi może przyjść do głowy! — odrzekł rotmistrz.

— Wszakże jest uczonym oficerem, sztabowcem?

— Właśnie, jako sztabowiec, kreśli mądre plany, a w praktyce dostanie po skórze. Tak zawsze bywa z tymi pawiami ze sztabu.

— A ja myślę inaczej: nie o miurydów mu idzie, których żadnym sposobem nie może zaczepić; wszakże to i ślepy widzi!

— Ciekawym, jaki mu zamiar przypisujesz?

— Po prostu tem, że chce Anulkę wykraść miurydom.

— Hum! hum!.. Toby wiedział, gdzie ona jest?

— Może wie... to bardzo prawdopodobne, bo z Nachodką z pewnością utrzymuje stosunek. Ale gdyby nawet nie wiedział, to i w takim razie po to jedynie wysunął swe prawe skrzydło w głąb Dagestanu, żeby w potrzebie pomódz Nachodce, który przecież mówił Wabranowi, że wszystkich jeńców uwolni.

— A tak! — wykrzyknął rotmistrz, uderzając się ręką po czole — Sam Wabram mnie to mówił.. Może masz racyę.

— Nachodka będzie zmykał z jeńcami do rosyjskiego obozu....

— Jasne jak słońce! — wtrącił rotmistrz

— Więc dlatego Olgerode wysunął się w głąb Dagestanu

— A to pluder! — wykrzyknął Bakłanowski. — Dla własnego interesu naraża cały swój oddział. Dalipan, w łeb mu palnąć przed frontem!

Pan Władysław nic na to nie odpowiedział, jeno obróciwszy konia na lewo, z miejsca puścił się cwałem przez łąki, zarośla, parowy i wzgórza, a za nim podążał rotmistrz — i mknęli tak długo, aż piana okryła konie i bieg ich stał się nierówny. Wtedy ruszyli stępą — i rzekł rotmistrz:

— To się nazywa jechać na złamanie karku, ale gdzie? — tego nie wiem!

— Na czoło kolumny Olgerodego, — odrzekł pan Władysław — Kto do niej się zbliży od miurydzkiej strony, będzie musiał na nas się natknąć.

— Racya! To jedźmyż!

Więc po chwili znowu puścili się cwałem i tak jadąc cały dzień, jeszcze przed wieczorem stanęli na brzegu ogromnej puszczy. Jak zwykle w południowych krajach, wkrótce po zachodzie słońca miała odrazu spaść na ziemię noc czarna, bo księżyc był na nowiu. Tu zatem trzeba było stanąć na nocleg. Puścili tedy konie na zieloną paszę, a sami, nagromadziwszy suchych liści, położyli się na nich pod drzewem. Na przemian jeden spał, drugi czuwał.

Ranek wstał mglisty, — mżyło, więc i głucho było w około, ale czem wyżej podnosiło się słońce, tem prędzej mgła opadała, puścił się drobny jesienny kapuśniaczek i po jakimś czasie niebo się przetarło. Odmawiając pacierze i rozglądając się pilnie po okolicy, pan Władysław i Bakłanowski jechali powoli krajem puszczy, pod konarami.

Nagle pan Władysław osadził konia i pochyliwszy się z siodła, uważnie patrzył na ziemię. W tem miejscu od lasu ciągnął się daleko w step jakby pas jakiś, dosyć szeroki, na którym trawa była trochę pomięta i nieoprószona rosą.

— Ludzie tędy przeszli i to niedawno, już po deszczu, — rzekł pan Władysław.

— A nie łanie na pastwisko? — zagadnął rotmistrz.

— Nie, ludzie, bo zwierzęta wychodzą z lasu na żer sznurkiem, jedno za drugiem, a ten pas szeroki i równy jak ulica. Trzeba śladów poszukać.

Rzekłszy to, zeskoczył z konia i zaczął chodzić po owym pasie, lecz na gęstej trawie nie było żadnych śladów. Więc krok za krokiem posuwał się coraz dalej, aż natrafił na grunt rozmiękły i tu się zatrzymał.

— Ludzie! — zawołał. - I to konni, a na koniach nie czerkieskich, jeno stepowych, kozackich, bo kopyta duże, szerokie, i podkowy z kacelami.

— Tam do licha! — wykrzyknął rotmistrz, uderzając się rękami po lędźwiach.

— I to jeszcze, — ciągnął pan Władysław — że się trzymali jakiegoś szyku. Szóstkami szli.

— Więc to cała kupa! Siadaj, Władku, — i w konie! Jeszcze ich dogonim!

Lecz nie zdołał pan Władysław wskoczyć na siodło, kiedy w lesie dał się słyszeć łomot suchych gałęzi, potem głuchy tętent i jakieś sapanie, wreszcie z gęstwiny wypadł opasły jeździec, a za nim dwaj inni, niezmiernie chudzi, ale ogromnego wzrostu. Wypadli oni z puszczy o kilkadziesiąt kroków od pana Władysława i rotmistrza, lecz zaraz ich spostrzegli i stanęli.

Pan Władysław odrazu ich poznał, — w oka mgnieniu wszystkiego się domyślił, — więc skoczył ku nim, wołając:

— Chas-aga! Chas-aga! Kogo ścigasz? Jeńców?

Sławny rycerz z Irhanaju oczy wytrzeszczył i jakby się zapomniał ze zdziwienia, a potroszę i ze strachu, bo poznawszy pana Władysława, odrazu przypomniał, że coś mu nabroił. Lecz nadrabiając miną, zawołał radośnie:

— Promienisty Ałłachu! Wszakże to znakomity rycerz Ass-Bułat! Ja też patrzę, co mię tak nagle olśniło, jak gdyby całe słońce uderzyło mi w oczy, a to wasza miłość!... Harunowie, jeden z drugim, bijcie łbami o końskie karki, bo nie możecie o ziemię!... Nie ma Boga, krom jedynego Ałłacha!...

— Rzekłeś! — przerwał mu pan Władysław. — A teraz mów: uciekli ci jeńcy?

— Jeńcy? — Chas-aga machnął ręką. — Bierz ich kaci! Jabym się dla nich nie trząsł na siodle i to jeszcze na czczo. Ale obie branki z nimi uciekły!

Pan Władysław, choć się tego spodziewał, jednak za głowę się chwycił.

— W konie! — krzyknął grzmiącym głosem.

— W konie! — powtórzył rotmistrz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

papierkach, dwa guldeny austryackie, nadto pierścionek, zegarek i pustą sakiewkę. Guldeny jak powiada wrzucił do wody, pierścionek zgubił, a zegarek dał znajomemu swemu do sprzedania.

Tłumaczenie to nie mogło uzyskać wiary, stało bowiem w rażącej sprzeczności z zeznaniami innych świadków. Nie zdołał też wytłómaczyć Simonow, dla czego kazał Burhackiemu odejść i zostawić nieznajomego samego, dla czego zgłosił do Burhackiego, aby wyszukał kogoś, coby się chciał przekradać przez granicę i t. d.

Sąd skazał Simonowa i Burhackiego na 13½ lat ciężkich robót.

SPRAWY KRAJOWE.

W szeregu sprawozdań, które Wydział krajowy przygotował na najbliższą sesyę sejmową, znajdujemy także sprawozdanie o spółce wodnej, zawiązanej przed laty trzynastu przez pięćdziesięciu dwóch mieszczan jasielskich. Grunta tych mieszczan położone pod Jasłem przy zejściu się rzeki Wisłoki z rzeką Ropą, niszczone były ustawicznie przez wylewy, aby więc temu zaradzić, zawiązało owych 52 mieszczan, przeważnie ubogich rzemieślników spółkę i postanowiło przeprowadzić roboty ochronne. Plan tych robót wypracował inżynier Wasilewski i obliczył ich koszta na kwotę 4373 zł. 34 ct. Własnemi siłami zabrała się ta spółka do pracy i wykonała część tych robót na kwotę 1414 zł. 54 ct., nie mając jednak funduszów na ich ukończenie, udała się do Wydziału krajowego z prośbą o subwencyę. Sejm przyznał spółce w r. 1881 subwencyę 500 zł. i pożyczkę bezprocentową 1500 zł. spłacalną w ciągu lat 10. Przy pomocy tych zasiłków ukończyła spółka w r. 1882 roboty ochronne pod nadzorem inżyniera Wydziału krajowego.

Od tego czasu minęło lat jedenaście, roboty wykonane przez spółkę zabezpieczają obszar przeszło 100 morgowy od powodzi, grunta te jednak przeszły do dziś po większej części w drugie a nawet i w trzecie ręce. Niektórzy członkowie spółki umarli, wielu z nich wywędrowało do Ameryki, funduszowi krajowemu zaś należy się reszta owej bezprocentowej pożyczki t. j. kwota 1145 zł. 7 ct. Na kim więc należy ją dziś egzekwować? Żądać jej zapłaty od tych członków, którzy żyją jeszcze i mieszkają w Jaśle, byłoby niesprawiedliwem, zwłaszcza, że są to ludzie ubodzy, a do tego należy wziąć na uwagę, że gdyby spółka ta po r. 1882 zabrała się do dzieła, otrzymałaby subwencyę i od kraju i od państwa tak, że w drodze konkurencyjnej wypadałoby pokryć tylko jedną trzecią część kosztów, t. j. kwotę 1329 zł., tymczasem spółka wydała z własnych funduszów gotówką lub prestacyami kwotę 2856 zł.

Ze względu zatem na te wyjątkowe stosunki, proponuje Wydział krajowy darować jasielskiej spółce wodnej ową resztę należnej funduszowi krajowemu pożyczki.

* * *

Inne sprawozdanie Wydziału krajowego o petycyi gminy Czarnołoźce, powiatu tłumackiego, ilustruje dosadnie wadliwości obowiązującej u nas ustawy o przynależności, wedle której gmina może być zmuszona do ponoszenia kosztów leczenia i utrzymania osób, które nigdy z nią żadnej styczności nie miały ani w niej nie przebywały. Wypadek taki zaszedł właśnie w gminie Czarnołoźce. Niejaki Stefan Raczyński, nabył w r. 1846 obszar dworski w Czarnołożcach, zatem w myśl patentu konskrypcyjnego z r. 1804 uzyskał tem samem przynależność do tamtejszej gminy. Zaraz w następnym roku sprzedał dobra Czarnołoźce i niewiadomo, gdzie się potem obrócił. Syn Stefana, Włodzimierz Raczyński umarł w r. 1890 w zakładzie obłąkanych w Kulparkowie i pozostawił żonę i czworo dzieci bez środków do życia. Przez półtora roku utrzymywała te sieroty gmina miasta Stanisławowa i wydała na to 230 zł. 16 ct., władza polityczna tymczasem wdrożyła dochodzenie celem zbadania przynależności zmarłego Włodzimierza Raczyńskiego i włożenia obowiązku utrzymywania sierot na tę gminę, do której był przynależnym. Starostwo w Tłumaczu przyznało tym sierotom i wdowie przynależność do gminy Czarnołoźce na tej podstawie, że ojciec zmarłego Włodzimierza przez jeden rok był właścicielem tamtejszego obszaru dworskiego, a nie wiadomo, czyli później uzyskał przynależność gdzieindziej. Naraz więc na ubogą gminę Czarnołoźce spadł obowiązek utrzymania sierot po człowieku, który nigdy w niej nie był i pewnie i nigdy w niej nie mieszkał, a do pokrycia jej potrzeb się nie przyczyniał.

Nadto kazano jej zwrócić gminie miasta Stanisławowa koszta utrzymania tych sierot przez półtora roku w sumie 230 zł. 16 ct. Gmina Czarnołoźce jest tak uboga, że własne jej dochody wynoszą wszystkiego 75 zł. rocznie, a dodatki do podatków na potrzeby gminne i szkolne wynoszą 50 proc. Ponieważ nałożenie dalszych dodatków byłoby nadmiernym ciężarem dla członków tej gminy, przeto proponuje Wydział krajowy, aby owa kwota 230 zł. 16 ct., należna gminie miasta Stanisławowa, zapłacona została z funduszu krajowego.

MAŁY FELJETON.

ROCZNICA.

— Pani już powróciła?... rzucił służącemu, zatrzymując się w progu.

— Nie jeszcze, proszę pana.

Upewniony tą odpowiedzią, wszedł do pokoju i teraz dopiero odsłonił ukrytą poza sobą prawą rękę, ukazując w niej olbrzymi bukiet z róż, może trochę ciężki i przeładowany, w którego układzie starał się jednak przelać cały swój dobry gust i serce, by go uczynić najwdzięczniejszym.

Jakaś szczęśliwa, promienna radość, błyszczała przytem w jego ciemnych oczach, skoro umieścił go w wazonie, w pokoju, na środku stołu. Troskliwą dłonią poprawił jeszcze zwieszające się ciężkie kielichy, wyjął z kieszeni małe „etui" z biało-niebieskim brylantem, ułożył go wśród kwiatów i odszedł kilka kroków od stołu, spoglądając z tryumfem na swoje dzieło.

— Tak, teraz już mogła powracać.

— Nie mogąc już dłużej ukryć tłumionej w sobie radości, uśmiechnął się do wszystkiego, co go tu otaczało, zacierając ręce.

Bo też w istocie był dziwnie milutki ten cały jadalny pokój, ciepły, zaciszny, gdzie wszystko lśniło, poczynając od lustrzanej niemal posadzki aż do bogatych rzeźb bufetu i ciężko ozdobionych srebrem i kryształami dębowych półek, w których zalotnie migocąc przeglądały się płomyki kominkowego ognia.

Do tego to kominka, trzaskającego sutym płomieniem, przysunięty też był niewielki stół owalny, zasłany śnieżnej białości obrusem, na którym stały obok siebie dwa nakrycia, połączone całą zastawą porcelany, a z każdej starannie postawionej serwety wyglądała krajanka chleba, świeża, pachnąca i tak apetyczna, że brała nieprzeparta ochota przybliżyć usta do lśniącej, przypieczonej skórki, ciemno-złotego koloru...

Zegar, srebrnym swym głosem wydzwonił powoli siódmą, a ona nie wracała. Teraz, kiedy już wszystko było przygotowane, on stał wciąż jeszcze, nie wiedząc do czego się zabrać na razie, o czem myśleć...

Zwolna, ze spuszczoną głową przeszedł do swego gabinetu i usiadłszy przy biurku, rozłożył świeże dzienniki. Czas jakiś przebiegał oczyma po papierze, ale darmo! Dziesiąty raz zaczynał już „Konferencyi ministrów oznaczona na d. 15 b. m.... Donoszą nam z Paryża... Akcye zostały wprowadzone na giełdę..." Co go to wszystko mogło obchodzić w tej chwili.

W myślach swych widział natomiast wchodzącą do pokoju jasną jej postać strojną, wonną, uśmiechniętą...

— Jak też to będzie? Czy odrazu pochwyci ją i utuli w ramionach, szepcząc do ucha: „Najdroższa, moje ty szczęście!". Ale nie, nie. Zachowa właśnie całą powagę i obojętność, a potem podawszy ramię, wprowadzi ją w milczeniu do jadalnego pokoju, chcąc być świadkiem jej zdziwienia i radości.

I nic tylko ta jedna myśl w kółko napełniała szczęściem całą jego istotę.

Czuł, że ręce, trzymające rozłożony dziennik, drżały mu na odgłos lada szmeru na schodach i choć po chwili, ciężkie, obce kroki pozbawiały go złudzenia do reszty, drżenia tego powstrzymać nie był w stanie.

Uśmiechał się, nie wiedząc czemu, sam do siebie, a skóro nakoniec usłyszał lekkie, szybkie stąpanie i szelest sukien tuż pode drzwiami, utonął cały w czytaniu.

...Donoszą nam z Paryża.. Donoszą nam z Paryża... I litery skakały mu przed oczyma nielitościwie, mieniąc się wszystkiemi barwami tęczy, zasłaniając sobą wszystkie inne.

Dzwonek zadzwonił głośno — weszła. Zrzuciła z ramion rotundę, a strojna suknia świadczyła, że powracała prosto z wizyt. Mówiąc „dzień-dobry" zabrała się śpiesznie do ściągania długich rękawiczek, rzucając się ruchem znużenia na niski fotel, zwrócony do kominka.

— Musimy się spieszyć z obiadem... poczciwi Stefanowie mają wstąpić po mnie jadąc do teatru, a dziś premiera...

Ta nowina niemile go uderzyła.

— Jakto, chcesz dziś jechać do teatru? — odparł, usiłując ukryć smutek w głosie. — A ja myślałem, że dzisiejszy wieczór spędzimy w domu we dwoje, przy kominku... Uważałem go za rodzaj święta... Przybliżyła nóżki do ognia, wspierając je o bronzową galeryjkę

— Widzisz... taką mam dziś właśnie ochotę.. Stefanowie zapraszali tak uprzejmie, że odmówić im było trudno, a zresztą... wiesz przecież, że tak często bywać w teatrze nie mam sposobności. Powracasz zawsze tak późno z biura. To... ale trudno, skoro mi zabraniasz, to oczywiście pozostanę w domu. Od ciebie to przecież głównie zależy... dokończyła, kładąc złośliwy nacisk na ostatniem zdaniu.

— Moja złota, tylko się nie gniewaj... Nie myślę pozbawiać cię tej przyjemności. Wymawiasz mi, że rzadko chodzimy do teatru — to prawda, ale wiesz przecie, że siedzę długo zajęty pracą, nie dla zabawy. A dziś właśnie mam wieczór swobodny i myślałem...

— Ależ dobrze, dobrze — zatem zostanę... — przerwała niecierpliwie.

— Wcale nie. Zjemy prędko obiad, potem zrobisz się ładną, bardzo ładną, żoneczko, a jak Stefanowie zajadą...

— Powiedziałam ci, że zostanę. Nie mam już na nic ochoty.

Rozwiązała brydy do gustownej rieuse-rose kapotki i wraz z rękawiczkami rzuciła ją na kanapę rozdrażnionym ruchem.

Z głębi swego fotelu patrzał na nią jakimś przygasłym już wzrokiem; radość, jaką czuł jeszcze przed chwilą w całej swej istocie, odlatywała gdzieś powoli. Poczuł się nagle zdenerwowanym tą niespodziewaną sprzeczką, tak zbyteczną zwłaszcza w tej chwili, która niewiadomo jak i zkąd na nich spadła. Ona usiadła znów spokojnie naprzeciw ognia, z rękami splecionemi na kolanach, wpatrzona obojętnie w płomień. Szukał w myśli, coby jej mógł jeszcze powiedzieć, a na razie nic jakoś nie umiał znaleść.

— A propos... Zaprosiłam jutro na obiad Żarskiego... przyjechał tu na czas dłuższy, bardzo miły chłopiec — przerwała po chwili.

— Aaa!

— Dlaczego cię to tak dziwi?

— Ale bynajmniej, moja duszko, wcale mnie to nie dziwi; powiedziałem „Aaa!" tak tamo, jakbym powiedział naprzykład „Ooo!"

Zmarszczyła gniewnie brwi, zaciskając przytem złośliwie różowe wargi.

— Czy może masz ochotę zrobić mi scenę zazdrości?

Spuścił głowę, zostawiając ją bez odpowiedzi. I po co te słowa bez przyczyny, bez celu; po co ta sprzeczka? Ale ona przecież zawsze taką nie jest... Żal ścisnął mu serce, budząc przytem nowe jakieś niepokoje. Bo zkąd jej się to wzięło? Nie jestżeto czasem wynikiem jakiego cierpienia, zawodu, oddźwiękiem wyrzutów pierwszego może przestępstwa? Kto wie zresztą?... Ale nie, cóż znowu? Zkądże podobne przypuszczenia! Jest raczej zmęczoną wizytami mniej lub więcej nudnemi, na których niejednokrotnie przymuszać trzeba umysł do szablonowej rozmowy z mało znanymi albo obcymi sobie ludźmi, drogą przebytą w powozie zamkniętym i dusznym, a nakoniec i ten czas okropny, chmurny i słotny, wraz z widokiem zabłoconych ulic, może już sam denerwować i wpłynąć przygnębiająco... Próbował, jak mógł, oderwać się od przykrych myśli, ale przytem dziwnie boleśnie było mu patrzeć na nią w tym zmienionym humorze.

Ona pierwsza ocknęła się z zadumy i ciągnęła jakby raz już rozpoczętą myśl, która nie dawała jej spokoju.

— O, bo w takim razie brałbyś się do rzeczy w jak najniezręczniejszy sposób, mój drogi. Jestem szalenie rozdrażnioną, to być może; ale wolę uprzedzić cię od razu, że z chwilą, kiedy okażesz się względem mnie choć trochę zazdrosnym, nie widzę tu innego wyjścia jak rozwód. Nic bowiem nie staje kobiecie tak na drodze swobody i szczęścia, jak zazdrość męża. To pewna.

Podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie, zbladły od tego ciosu, który tak nagle wymierzony padł mu na twarz, jak rękawica. Ona zaś wstała z fotelu i oparta o marmur kominka z całym już spokojem patrzała teraz w ogień. Zegar wydzwonił tymczasem siódmą dziwnie smutnym i jękliwym głosem, a szalony wicher bryzgał w szyby wielkiemi kroplami deszczu równie ponuro.

W milczeniu przeszli do jadalnego pokoju, ale zdawało się, że ten tak wesoły przed chwilą salonik posmutniał także. Podany obiad stał na stole już zimny, kominek przygasł i syczał już tylko od czasu do czasu resztkami życia, ze szkła, sreber, rzeźb i boazeryi znikły już wesołe skoczne blaski, a bukiet, zwiesiwszy smutno pełne różane kielichy, miał minę nieproszonego gościa, na którego zgoła nikt nie zwraca uwagi i który się czuje zbytecznym i skrępowanym.

Po chwili obojętnym wzrokiem jakoś mimochodem spostrzegła kwiaty.

— Ooo, a to co?

Spojrzał na nią nieśmiało i jakby zawstydzony swoim pomysłem, rzekł:

— Moja duszko, wszakżeto dziś rocznica naszego ślubu...

KRONIKA.

Lwów 7 Kwietnia.

Z Uniwersytetu. P. Hordyński otrzymał na Uniwersytecie czerniowieckim stopień dra praw.

Wybory do sejmu. Posłem do Sejmu z okręgu większych posiadłości okręgu tarnowskiego wybrany p. Stefan Sękowski. Głosujących było 156; p. Sękowski otrzymał 84 głosów, Franciszek hr. Mycielski 72 głosów.

Konkursa. Wydział powiatowy w Kołomyi rozpisał konkurs na posadę kancelisty z roczną płacą 600 zł. i prawem do dwóch dodatków pięcioletnich po sto złr. rocznie.

Zwierzchność gminna m. Oświęcimia ogłasza z terminem do 15 maja rb. konkurs na posadę sekretarza miejskiego, tudzież na posadę rewizora policyi.

Sądy powiatowe w Bóbrce i w Milówce poszukują dyetaryuszy.

W akademii terezyańskiej w Wiedniu opróżnionem jest jedno galicyjskie miejsce fundu zowe. Podania należy wnieść najdalej do 30 bm. do Wydziału krajowego, gdzie też w archiwum można przejrzeć program akademii i zasięgnąć bliższych informacyi.

Praca więźniów. W obec podnoszonych często zażaleń na szkodliwą konkurencyę wyrobów w zakładach kary sporządzanych z drobnym przemysłem, Nadprokuratorya Państwa we Lwowie, mając sobie powierzone naczelne kierownictwo trzech zakładów w kraju, dokłada wszelkich starań, aby siły robocze więźniów, w tych zakładach przytrzymywanych, były użyte do krajowych robót melioracyjnych. Na jej, w porozumieniu z galicyjskim Wydziałem krajowym, uczyniony wniosek zezwoliło Ministerstwo sprawiedliwości na wysłanie 120 więźniów z zakładów kary we Lwowie i Stanisławowie, do robót przy regulacyi rzeki „Biały" i obwałowania brzegu „Dunajcu" w Świerczkowie pod Tarnowem, — gdzie więźniowie pod dozorem straży więziennej w wybudowanym do tego budynku przez lato i jesień, dopóki pora sprzyjać będzie, zatrudnieni zostaną. Próby przed dwoma laty z więźniami przy regulacyi „Gniłej Lipy" pod Janczynem podjęte, w każdym kierunku pomyślny wynik wydały, a projektowaną regulacyę tej rzeki daleko prędzej przeprowadzono, jak pierwotnie było oznaczonem. Obecnie podejmują się roboty ze znacznie większą liczbą więźniów i spodziewać się należy, że przy pomyślnym rozwoju tych robót i odpowiedniem zachowaniu się wysłanych więźniów, system kary co do zatrudnienia więźniów podczas ich przetrzymania w zakładach kary na odmienne tory wprowadzony będzie. Dotąd jedynie w Galicyi użyci są więźniowie w znaczniejszej liczbie do krajowych robót melioracyjnych.

„Sokół". Wydział Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" zawiadamia druhów, iż z dniem 15 bm. rozpoczyna się w „Sokole" kurs nauki jazdy na kołach (bicyklach). Korzystać z niej mogą tylko członkowie Towarzystwa. Zgłoszenia przyjmuje kancelarya od godziny 6 do 8 wieczorem, gdzie również zasięgnąć można bliższych informacyi.

Dyrekcya powszechnej Wystawy krajowej we Lwowie zawiadamia interesowanych, że z dniem 15 maja, ewentualnie 1 czerwca 1894 r. tj. z chwilą otwarcia wystawy, potrzebne będą na placu Wystawy: a) dwie większe pierwszorzędne restauracye, b) dwie lub trzy drugorzędne restauracye, c) dwie cukiernie, d) dwie kawiarnie.

Wzywa się przeto firmy, któreby przedsiębiorstwem tem zająć się chciały, ażeby z zamiarami swemi najpóźniej do końca maja b. r. do Dyrekcyi (ul. Jagiellońska 15) się zgłosiły. Bliższych informacyi udzieli biuro Wystawy. Dyrektor: *Marchwicki.* Sekretarz: *J. K. Zieliński.*

Szereg pawilonów własnych na wystawie powszechnej krajowej, sądząc z dotychczasowych zgłoszeń, zapowiada się nader pokaźnie. Wspominaliśmy już o tem, że własne pawilony mają zamiar postawić Wilhelm hr. Siemieński - Lewicki, Helena hr. Mierowa, Roman hr. Potocki, Andrzej hr. Potocki, Ludwik hr. Dębicki, Julian br. Brunicki i Jakób br. Romaszkan, obecnie znów Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie zażądało 260 kw. metrów dla wzniesienia pawilonu własnego oświetlonego z góry. Dalej właściciele dóbr Brody oświadczyli gotowość wybudowania oddzielnego pawilonu, w którym pomieścić chcą okazy swojego gospodarstwa, po za pawilonem zaś na wolnej przestrzeni własne produkta leśne. Energiczny protektor haftu włościańskiego p. Kazimierz Rojowski z Humenowa zamierza wybudować specyalny pawilon dla robót hafciarskich. Rozpoczęty przed laty ośmiu a zbywany zrazu tylko żartami przemysł ten rozwinął się dziś poważnie. Poparty subwencyą Wydziału krajowego ma już obecnie zbyt w kilku bazarach krajowych, nadto w Peszcie i Wiedniu, gdzie na jednej z wystaw wyroby humenowskie zaszczytnie nagrodzono i jako wzory do muzeum etnograficznego wcielono. Obecnie artystycznej krzyżykowej robocie oddaje się w Humenowie 65 hafciarek, a liczba ich wzrasta wciąż w okolicy. W tych dniach znaczną partyę haftów wysłano na żądanie do Chicago. P. Kazimierz Rojowski stawiając pawilon własnym kosztem zamyśla przy pomocy sprowadzonych *ad hoc* robotnic przedstawić cały tok pracy hafciarskiej.

Z Brzozowa nam piszą: Wczoraj odbyło się tu zgromadzenie komitetu przedwyborczego dla ustanowienia kandydata na opróżniony mandat do Sejmu przez śmierć śp. Konstantego Bobczyńskiego. Kandydatury postawiono tylko dwie, p. Zdzisława Skrzyńskiego i p. Wysockiego, gdyż trzeci kandydat, włościanin Skwara, porozumiał się z p. Wysockim i zrzekł się kandydowania na rzecz jego. Przewodniczącym komitetu obrano p. marszałka Urbańskiego i zawezwano kandydatów do wypowiedzenia programów. Pierwszy zabrał głos p. Skrzyński i oświadczył, że jego program jest bardzo zwięzły. Zadaniem naszem — rzekł — jest utrzymać przodków wiarę i ziemię, więc w Sejmie będę pracował w tym kierunku, aby to zadanie jak najbardziej ułatwić moim współobywatelom. Następnie przeszedł mówca do spraw szczegółowych i przy tej sposobności oświadczył, że uważa, iż dwór, plebania i gmina powinny zawsze iść ręka w rękę, wspierając się nawzajem. Gdy te trzy czynniki będą w zgodzie ze sobą, to utworzą taką twierdzę, jakiej nie zdobędą ani zewnętrzni, ani wewnętrzni wrogowie. Mowa p. Skrzyńskiego bardzo wszystkim się podobała swą szczerością, prostotą i praktycznym, doświadczonym poglądem na sprawy i stosunki. Po nim zabrał głos p. Wysocki i począł opowiadać jak wygląda katedra św. Szczepana w Wiedniu. Przyrównywując zaś społeczeństwo do owej katedry, oświadczył, że ciosy kamienne, z których katedra jest zbudowana to są włościanie, wieżyczki to posłowie, a wyborcy to architekt, który katedrę budował. Porównanie trochę kulawe, ale wybaczylibyśmy je chętnie p. Wysockiemu i nie wspominalibyśmy z przykrością o tej jego mowie, gdyby w dalszym ciągu nie był popełnił herezyi, której doniosłości wcale chyba sam nie oceniał. Oto rzekł on, że kiedy podczas ostatnich wyborów do Sejmu komitet centralny zatwierdził kandydaturę p. Bobczyńskiego, a on (Wysocki) jako prawyborca mimo to głosował nie na Bobczyńskiego, ale na jakiegoś włościanina, to w szeregach jego sąsiadów (i tu powiódł okiem i ręką po szlachcie) robiono mu zarzut, że głosował na w r o g a (sic!). Słowa te p. Wysockiego wywołały naprzód zdumienie, a potem oburzenie. Nikt nie mógłby brać p. Wysockiemu za złe tego, żeby w agitacyi wyborczej używał środków lojalnych. P. Skrzyński chce być posłem, p. Wysocki także. Bardzo pięknie, więc niech walczą, niech zaskarbiają względy wyborców. Ale żeby szlachcic szedł do włościan i dla zdobycia ich serca, podburzał ich przeciw dworom, to ani szlachetnem, ani lojalnem nie jest. Dla zdobycia mandatu nie sieje się waśni społecznej. A p. Wysocki upodobał snać sobie w takiej agitacyi, bo jeszcze przed zgromadzeniem komitetu przedwyborczego rozrzucił po całem miasteczku socyalistyczne lwowskie pisemko, wynoszące go pod niebiosa, a rzucające się na p. Skrzyńskiego.

Takiemi jednak drogami nie daleko się zachodzi w naszem społeczeństwie. Komitet większością głosów odrzucił kandydaturę p. Wysockiego, a postawił kandydaturę p. Zdzisława Skrzyńskiego.

„Stronzian" ogier hr. Mikołaja Esterhazyego, zwycięzca w niemieckim derby w roku 1884, zakupiony został do stadniny rządowej za 75.000 złr.

Wielka wygrana. *Czas* donosi: „Od lat kilku istnieje w mieście naszem pewna prywatna spółka kilkunastu obywateli tutejszych, przeważnie przemysłowców i rękodzielników, która z oszczędności zakupywała losy kredytowe. Właśnie w najświeższem ciągnieniu losów wiedeńskiej pożyczki komunalnej, główna wygrana w sumie 200.000 złr. padła na tę spółkę. Każdy właściciel udziału otrzyma podobno 11.000 złr. z tytułu tej wygranej. Gdyby tworzenie takich spółek mogło z czasem wyrugować stawianie na loteryi liczbowej, byłoby to bardzo szczęśliwie, gdyż lokowanie kapitałów w pewnych losach jest, w obec ciągłego podnoszenia się cen takich losów, nawet bez wygranej lokacyą względnie korzystną".

Z izby sądowej Wczoraj przed ławą sędziów przysięgłych rozpoczęła się w Krakowie rozprawa przeciw Stanisławowi Antoniemu Skąpskiemu, liczącemu lat 23, ukończonemu słuchaczowi praw i asystentowi pocztowemu, oskarżonemu o sprzeniewierzenie listu poleconego zawierającego 3000 rubli i 800 marek.

Według aktu oskarżenia, Skąpski urzędując dnia 17 stycznia b. r. w krakowskim urzędzie pocztowym, odebrał list polecony, adresowany do Wrocławia, a zawierający wyżej wymienioną sumę. Odbiór tego listu najwyraźniej w protokole zaświadczył, listu tego atoli z urzędu pocztowego krakowskiego dalej nie wyekspedyował. Dnia 20 stycznia adresat we Wrocławiu uwiadomił telegraficznie nadawcę w Krakowie, iż owego listu pieniężnego nie otrzymał. Nadawca wniósł natychmiast reklamacyę, a dochodzenia urzędowe zwróciły podejrzenie na Skąpskiego.

Skąpskiego dnia 20 stycznia, gdy list ów zareklamowano, nie było w Krakowie. Dnia 19 stycznia bowiem wyjechał do Warszawy, a przybywszy tam złożył u bankiera Radziszewskiego, któremu przedstawił się jako Roliński, kwotę 3000 rubli i prosił go, by bankierowi Mendelsburgowi w Krakowie polecił tę sumę mu wypłacić. Oprócz tego wystosował obwiniony dwa telegramy pod swoim adresem do Krakowa. Telegramy te podpisane były przez Rolińskiego i wyjaśniały przesyłkę pieniędzy przez bank Mendelsburga.

D. 21 stycznia wrócił obwiniony do Krakowa, gdzie zastał już telegramy, przez siebie z Warszawy wysłane, a dowiedziawszy się po przybyciu, iż naczelnik urzędu pocztowego polecił mu bezzwłocznie stawić się w biurze, poszedł do urzędu i tam wobec przesłuchujących go naczelnika Dawidowskiego i sekretarza Wopaternego zaprzeczył sprzeniewierzeniu listu, przyznając jedynie, iż list odebrał. Co się dalej z nim stało, powiedzieć nie umiał.

W dniach 22 i 23 stycznia podjął oskarżony w banku Mendelsburga przysłane z Warszawy pieniądze.

Dnia 26 stycznia dyrekcya policyi wskutek doniesienia, odebranego z urzędu pocztowego w Krakowie o zachodzących poszlakach zbrodni sprzeniewierzenia, zarządziła dochodzenia, Skąpski przesłuchany w tej sprawie przez komisarza Balickiego początkowo przeczył wszystkiemu, później jednak, gdy mu wykazano liczne sprzeczności w jego zeznaniach, do winy się przyznał; w śledztwie sądowem również przyznał się, iż list ów sprzeniewierzył i oświadczył, iż ze sprzeniewierzonej kwoty pozapłacał długi u różnych osób zaciągnięte, a wynoszące przeszło 1800 złr., resztę zaś użył na swój użytek.

Po odczytaniu aktu oskarżenia przewodniczący trybunału radzca Matusiński przystąpił do przesłuchania oskarżonego. Na zapytanie, czy się poczuwa do winy oświadczył oskarżony, że się winnym nie czuje. Szczegółowe przesłuchanie jego trwało do godziny 1 w południe, poczem przewodniczący odroczył rozprawę do po południa.

Swięcone odbędzie się w sobotę dnia 8 bm. w Kole literacko-artystycznem we Lwowie, o godzinie 8 wieczór.

Przeciw Krakowowi. *Słowo* warszawskie drukuje odezwę jakiegoś szlachcica, wzywającą innych, aby nie prowadzili koni na jarmark do Krakowa, gdyż stracą z powodu zdzierstwa żydów faktorów.

Cholera. W Kudryńcach zachorowały onegdaj cztery osoby na cholerę. Nikt nie umarł. Dziewięć osób pozostaje w leczeniu.

W pielgrzymce polskiej do Rzymu, która onegdaj wyruszyła z Krakowa, wzięło udział ogółem 398 osób.

Raut dziennikarski. Towarzystwo wzajemnej pomocy dziennikarzy polskich urządza dnia 25 bm. w salach ratuszowych raut, z którego czysty dochód przeznaczony na cele Towarzystwa. Wczoraj obradował nad tą sprawą osobny komitet i podzielił się na komisye, które wzięły się raźnie do dzieła. Zabawa zapowiada się świetnie. Protektorat nad rautem objęli pp.: Stanisławowa hr. Badeniowa i marszałek krajowy Eustachy ks. Sanguszko.

Zasiłki na budowę szkół. Na ostatniej sesyi utworzył Sejm, jak wiadomo, stały fundusz pożyczkowy na budowę szkół. Funduszem tym, który wynosi przeszło 214.000 złr. dysponuje Rada szkolna krajowa. Chcąc umożliwić jak najrychlejszą budowę nowych, lub przebudowanie starych szkół, Rada szkolna rozdzieliła z powyższego funduszu kwotę 192.600 złr. na pożyczki bezprocentowe. Pożyczki otrzymały gminy: W powiecie bialskim: Malec 2000 złr. W powiecie bobreckim: Sokołówka 800 zł., Wodniki 1500 złr., Stańkowce 600 złr., Romanów 1000 złr., Wybranówka 400 złr., Bryńce cerkiewne 200 złr. W powiecie bocheńskim: Krzyżanowice 800 złr., Słomka 500 złr., Buczków 800 złr., Rozdziele 1000 złr., Rajbrot 600 złr, Grabie urnańskie 1500 złr. W powiecie bohorodczańskim: Łysiec stary 1000 złr. W powiecie borszczowskim: Paniowce zielone 1500 złr., Podfilipie 600 złr., Wierzbówka 8 00 złr., Cygany 500 złr., Jezierzanka 1500 złr. W powiecie brodzkim: Gaje smoleńskie 800 zł., Hrycowola 1000 złr: W powiecie brzeskim: Łopoń 500, Stróże 1000. W pow brzeżańskim: Horodyszcze 2000, Wybudów 1500. W pow. brzozowskim: Dylągówka 2000. W powiecie buczackim: Ostra 500, Skomorochy 800, Petlikowce 400, Olesza 1000, Leszczańce 1000. W powiecie czortkowskim: Kalinowszczyzna 1000, Białobożnica 1000. W powiecie dąbrowskim: Grądy 650, Wulka grądzka 250, Borusowa 800, Hubenice 500, Kozłów 300, Dąbrówbreńskie 1500 W powiecie dobromilskim. Sufczyny 1200, Posada nowomiejska 2000. W powiecie dolińskim: Krechowice 1000, Witwica 400. W powiecie gorlickim: Sietnica 1500, Bartne 1000. W powiecie gródeckim: Rokitno 2000. W powiecie grybowskim: Zborowice 1200, Pławna 300, Mystków 300, Mszalnica 400, Banica 7000. W powiecie husiatyńskim: Niżborg stary 1500, Trybuchowce 2000, Czarnokońce małe 1500. W powiecie jarosławskim: Szówsko 1000, Adamówka 1200, Czercze ad Czerwona wola 1000. W powiecie jasielskim: Bączal dolny 500, Bączal górny 500, Opacie 200, Niewodna 1500, Wysoka 1500, Łajsce 1500. W powiecie jaworowskim: Budzyn 300, Chotyniec 700, Wulka rosnowska 400, Kochanówka 1000, Podłuby 500. W powiecie kałuskim: Wisłowa 1.500, Pójło 1000, Tużyłów 1.500. W powiecie kamioneckim: Wierzbiany 400, Adamy 300, Rakobuty 700, Horpin 1500, Łany polskie 1000. W powiecie kolbuszowskim: Kolbuszowa górna 500, Werynia 500, Nowa wieś 400. W powiecie kossowskim: Słobudka 800. W powiecie krakowskim: Grzegórzki 2500, Rusocice 1000, Kobylany 800. W powiecie łańcuckim: Hussów 1000, Wola zarzycka 1500, Tryńcza 1000, Gorzyce 1000. W powiecie limanowskim: Przyszowa 1500, Łętowa 1000, Krasne z Łasocicami 1.500. W powiecie liskim: Bereska 1000, Wola matjaszowa 400, Wola michowa 800, Serednica 1.000, Czaszyn 2000, W powiecie lwowskim: Glinna 1.000, Wulka hamulecka 1000, Gaje 1500, Zarudzie 300, Podborce 600, Milatycze 500, Borki janowskie 1000, Brodki 500. W powiecie myślenickim: Budzów 1500, Biertowice 1000, Zawada 600. W powiecie mieleckim: Rożniatyn 1500. W powiecie nadwórniańskim: Łuh 700, Hołosków 1000. W powiecie niziańskim: Borki 600, Dąbrówka 1000, Golce 1000, Jata 1500. W powiecie nowotarskim: Kluszkowce 500, Groń 500, Wasmund 500. W powiecie pilzneńskim: Błaszkowa 400, Przeczyca 300. W powiecie przemyskim: Bachórzec 500, Chodnowice 600, Chraplice 300, Śliwnica 600, Torki 1000, Stanisławczyk 500. W powiecie przemyślańskim: Białe 1500, Pleników 300, Majdan lipowiecki 300, Rozworzany 1500. W powiecie ropczyckim: Olchowa 1500, Gawrzyłowa 1500, Brzeziny 300. W powiecie rudońskim: Rozdziałowice 400, Honiatycze 500, Rumno 800, Podolce 200. W powiecie rzeszowskim: Jasionka 1500, Stobierna 1500, Zwięczyca 1200, Wola zgłobieńska 1000. W powiecie samborskim: Rakowa 600, Wojatycze 1500, Strzałkowice 2000. W powiecie sanockim: Raczkowa 1000, Falejówka 1000, Dąbrówka rucka 800, Wolica 1500, Bażanówka 1000, Morochów 500, Mokre 1000, Zawadka morochowska 300. W powiecie skałackim: Leżanówka 1500, Rosochowaciec 1500, Rożyska 1500. W powiecie śniatyńskim: Popielniki 1000. W powiecie sokalskim: Szarpańce 1000, Machnówek 500, Korczyn 1000, Sulimów 1000. W powiecie stanisławowskim: Uhrynów dolny 500, Uhrynów górny 1000, Hanuszowce 1500. W powiecie tarnobrzeskim: Dęba 1500, Zaleszany 1500. W powiecie tarnopolskim: Cebrów 1000, Chodaczków 1000, Ładyczyn 800, Horodyszcze 1000, Proniatyn 1500. W powiecie tarnowskim: Wróblowice 1500, Pleśna 800, Łowczówek 600, Rychwałek 600. W powiecie tłumackim: Miłowanie 1000. W powiecie trembowelskim: Wierzbowiec 2000. W powiecie wadowickim: Barwald średni 500, Barwald dolny 2000, Polanka-Haller 1000, Gołuchowice 600 W powiecie zaleszczyckim: Dźwiniacz 1000, Burakówka 700, Torskie 1200, Popowce 1000, Sinków 2000. W powiecie zbaraskim: Kondratów 1000, Ścianka 800, Chilczyce 1200, Kabarowce 1000. W powiecie żółkiewskim: Dworce 300, Wolica 800, Skwarzawa stara 1000. W powiecie żydaczowskim: Młyniska 1500, Holeszów 1500, Iwanowce 1500, Protesy 1000. W powiecie żywieckim: Rajcza 1500 zł.

Pożar Onegdaj w południe wybuchł pożar w Cholerzynie i pochłonął 14 domów, 9 stodół i 1 bróg. Ogień powstał skutkiem lekkomyślności kilkoletniego chłopca, który podpalił perz znajdujący się pod domem.

O przyjęciu duchowieństwa katolickiego przez nowego gubernatora Litwy piszą nam z Wilna co następuje:

Nowy naczelnik kraju Orżewskij jak można najniegrzeczniej przyjął duchowieństwo nasze, które na niego czekało w przedpokoju godzinę. Wyszedł w kurtce swojej, stanął plecami do biskupa ks. Zdanowicza i kapituły, a przodem tylko do biskupa ks. Audziewicza prawie twarzą w twarz. Przemówiwszy, że w Rosyi religia katolicka „jest terpima" (tolerowana), a że on jednak srogo prześladować będzie tych księży, którzy mięszać będą religię z polityką, odstąpił kilka kroków od biskupa i wówczas podał mu rękę, tak iż ks. biskup zmuszony był podejść do niego, potem ukłoniwszy się wszystkim, odszedł do swych apartamentów.

Dodać trzeba, że w przedpokoju razem z naszem duchowieństwem było tak zwane duchowieństwo luterańskie, kalwińskie, mułła tatarski i rabin żydowski.

Wkrótce potem zawiadomił p. Orżewskij oficyalnie ks. biskupa, że ks. Żyworonek w skutek rozporządzenia ministra wysłany został na lat pięć do gubernii astrachańskiej, a ks. Piotr Endryk, spokojny i zacnej duszy kapłan, na sześć lat do Syberyi. A za co, tego nikt tu nie wie.

Piękne widoki dla nas wszystkich.

Z Kańczugi nam piszą: Jak po wszystkich miasteczkach, tak i tu istnieje odwieczny zwyczaj wieszania w wielki piątek tak zwanego judasza. Ludowa to pamiątka, jak i wiele innych uświęconych tradycyą, mająca tę właściwość, że zawsze obudza w żydach niemiłe wspomnienia, a do tego odbywa się na rynku, który oni już z reguły tak u nas, jak i po innych miastach Galicyi, za swój chcą uważać. Zresztą jest to niewinna zabawa młodzieży i niedorostków, którzy nacieszywszy się manekinem, topią go następnie w rzece. Do scen burzliwych lub wyzywających nigdy tu nie przychodzi.

Z jakiego więc powodu miejscowa żandarmerya, w tym roku wmięszała się w tę zabawę i ścigała manekina, wzywając dzieci w imieniu prawa do rozejścia się, trudno sobie wytłómaczyć.

W kilka dni później przyszło do nowego zajścia z komendantem żandarmeryi. Wiadomo, że cały świat największe swe uroczystości uświetnia między innymi i strzelaniem, pragnąc zapewne tem wyrazić, iż jak strzał jest głośnym, tak i uroczystość wielką. To też nie dziw, że i katolicy w największe swe święta, okazują w ten sam sposób radość swoją i przyczyniają się przez to do uświetnienia kościelnej uroczystości. W Kańczudze odbywa się to strzelanie rok rocznie w uroczystość wielkanocną na rynku, jako na miejscu najobszerniejszem, a ponieważ zachowana jest przytem ostrożność, przeto nie zdarzył się tu jeszcze nigdy żaden wypadek. Tego jednak roku, zadziwił się i zasmucił niemało każdy, gdy przez dwa dni nie słychać było w mieście strzałów, podczas gdy w całej okolicy, ze wszystkich parafii dochodziły nas wesołe odgłosy moździerzy.

I cóż się stało? Oto kiedy o wschodzie słońca przed rezurekcyą pierwszy strzał wraz z odgłosem dzwonów obudził mieszkańców, komendant kazał moździerze natychmiast usunąć. A kiedy na rozkaz burmistrza sprowadzono je napowrót, komendant tak dalece się zapomniał, iż do burmistrza, który jest przecie gospodarzem miasta i właściwą do tych rzeczy władzą, zaczął przemawiać tonem rozkazującym. Na szczęście burmistrz, chociaż mieszczanin, potrafił utrzymać swą powagę, zwracając uwagę żandarma na to, że tylko starostwo jest jego naczelną władzą, żandarmerya zaś nie do rozkazu, ale do pomocy jest mu przydaną.

Po tem starciu zdawało się już, że awantura skończona, bo strzały na nowo się odezwały. Lecz niedługo potem, w czasie sumy, właśnie podczas podniesienia umilkły nagle strzały, a wnet potem rozbiegła się wieść, niestety prawdziwa, iż żandarmerya nabite już moździerze skonfiskowała, wybrawszy do tego chwilę, kiedy rynek był pusty, a wszystek lud w kościele.

Trudno wyrazić, jakie oburzenie wywołał ten czyn komendanta, oburzenie zaś tem groźniejsze, iż żydzi w czasie konfiskaty radowali się krzycząc: „...iwat!“ — a potem wprost już szydzili, mówiąc: „ny, co to u was dziś żałoba?“

Podziwiać rzeczywiście należy spokojne i pełne taktu zachowanie się tak burmistrza, jakoteż i mieszczan, którzy choć do żywego dotknięci w swych uczuciach religijnych, nie dopuścili przecież do gwałtów i zaburzeń, które sam komendant przez krok swój nierozważny tak łatwo mógł wywołać. Powaga jednak owego komendanta jest tu stanowczo zachwianą, a żal i uraza chrześcijan tem większe, iż żydzi w lecie częstokroć o północy wyprawiają okropne hałasy po ulicach i w rynku, lub modląc się do księżyca, stają gromadami na środku ulicy, tak, że nikt przejść już tamtędy nie może, a przecież żandarmerya patrzy na to przez palce, a chrześcijanie znoszą ten ucisk, jak i wiele innych cierpliwie.

Ze Stryja nam piszą:

W ostatnich dniach postu mieliśmy tu rekolekcye OO. Redemptorystów. Osobno odbyły się rekolekcye dla pań, a osobno dla panów. Zarówno w jednych jak i w drugich publiczność nasza wzięła nadzwyczaj liczny udział, składając tem dowód szczerej pobożności.

Na dochód ochotniczej straży pożarnej, którą zawiązuje tutejszy „Sokół“, urządzono staraniem młodzieży akademickiej teatrzyk amatorski. Repertoar składał się z trzech jednoaktówek: Przybylskiego „Schadzki“, Koziebrodzkiego „U doktora“ i Labisza „Moja córeczka“. Wszyscy biorący udział w przedstawieniu grali ładnie, a w pierwszym rzędzie jaśniała młodziutka i piękna panna Zofia Rzewuska, którą za niezmiernie inteligentną grę nagrodzono długo niemilknącemi oklaskami. *E. H.*

Z Brodów piszą nam:

W Brodach dawali trzydniowe rekolekcye wielkopostne OO. Konstanty Jakubowski i Maryan Kruczek, Dominikanie obserwanci z Podkamienia. Rozpoczęli je w poniedziałek 20 z. m. nauką wstępną, codziennie miewali po trzy nauki w kościele, a prócz tego czwartą naukę wieczorem o ósmej w „Gwieździe“, katolickiem stowarzyszeniu rzemieślniczem, którego prezesem jest ks. Zygmunt Świstelnicki, katecheta gimnazyum. W piątek zakończyły się rekolekcye dwiema naukami i generalną komunią świętą.

Potrzeba takich rekolekcyi u nas jest wielką, jeżeli się zważy, że jesteśmy blisko granicy, od której wiadomości o częstych przejściach na schyzmę najpierw do nas się dostają; że od nas widać kopuły monasteru poczajowskiego, w którym wielu naszych Galicyan przyjęło prawosławie; że tuż obok nas przeciągała głośna agitacyjna procesya prawosławna z Matką Boską poczajowską; że Radziwiłłów pod bokiem, a tam także roku zeszłego w wielki czwartek przyjęło prawosławie 70 Rusinów a między tymi było 4 obrządku łacińskiego; że wreszcie zaledwo kilka mil od nas są te gminy czeskie, które prawosławie przyjęły. To wszystko powszechnie jest znane.

Gdy Ojcowie obserwanci objęli klasztor w Podkamieniu, wzięli się zaraz do pracy w swej parafii; zaczęli głosić słowo boże podczas miejscowych licznie zwiedzanych odpustów, a proszeni do sąsiednich parafii chętnie z pomocą spieszyli. Skorzystałem z tej uprzejmości i poprosiłem o rekolekcye dla parafii mojej; Ojcowie zgodzili się natychmiast, a O. Antoni Thier, wikary generalny, i przeor Bernard Kukierek chętnie na to zezwolili. Jak błogie skutki przyniosły ich nauki rekolekcyjne, dowodzą liczne podziękowania, które za nie od inteligentnych parafian moich odbieram; ja także im dziękuję, życząc przytem, by klasztor w Podkamieniu stał się warownią, broniącą wstępu sąsiedniej schyzmie, a codzienny z okien klasztornych widok monasteru poczajowskiego niechaj ich zachęca do coraz większej gorliwości.

Ks. Andrzej Świsterski, prob.

W Saratowie w głębokiej Rosyi założone zostało katolickie Towarzystwo dobroczynności. Prezesem wybrano proboszcza katolickiego w Saratowie ks. Mickiewicza, na członków zapisało się 74 Polaków, przemysłowców, rzemieślników i urzędników. W całej gubernii saratowskiej żyje 38.339 katolików, przeważnie zaś są skupieni w powiecie kamyszyńskim, bo w liczbie 34.872. Kościołów jest w saratowskiej gubernii 19 i jedna katedra murowana.

W Chicago odbył się wielki „mass mityng“ zamieszkałych tam Polaków, na którym uchwalono zaprotestować przeciwko traktatowi Stanów Zjednoczonych z Rosyą w sprawie wydawania tej ostatniej przestępców politycznych, szukających na ziemi amerykańskiej przytułku przed prześladowaniem rządu carskiego. Mityng odbył się przy udziale 5000 osób, protest posłano telegraficznie, a nadto wybraną została stała komisya dla dalszej akcyi w celu zapobieżenia traktatowi hańbiącemu wolny naród amerykański.

Prima Aprilis Za panowania Rzymian w nocy z dnia 31 marca na pierwszy dzień kwietnia roku pewnego spadł w Rzymie śnieg tak wielki, jakiego żyjący tam podówczas mieszkańcy jeszcze nigdy nie widzieli. A że — jak to zwykle bywa, zwłaszcza w wielkich miastach — nie wszyscy mieszkańcy snem błogim w domu spoczywają, przeto znaleźli się i w Rzymie tacy, którzy owę noc poza domem spędzali. Ci, spostrzegłszy śnieg, jakby z rogu obfitości spadający, a wreszcie całe ulice śniegiem grubo pokryte, pospieszyli do swych domowników, krewnych i znajomych, aby ich o tem dotąd niewidzianem zjawisku uwiadomić.

Na tę wiadomość wszyscy mieszkańcy znaleźli się w jednej chwili na ulicy; starsi wiekiem przypuścili szturm do mieszkań swych sąsiadów, młodzież zabrała się do kul śnieżnych i staczała walne bitwy między sobą, w czem i dziatwa niepośledni udział brała. Tym sposobem w ciągu jednej godziny cała ludność Rzymu znalazła się na ulicach i placach publicznych, a w całem mieście rozlegał się hałas niezmierny. Nakoniec zawitał poranek, słońce się pokazało, śnieg powoli znikał, a gwar ustawał. Przez cały dzień starsi o niczem innem nie rozmawiali, tylko o wrażeniu, jakiego kto doznał; młodzież o guzach, ile jeden lub drugi ztąd oberwał, a dziatwa o sandałkach, które w śniegu pogubiła. Jednem słowem ten pierwszy dzień kwietnia zapisał się mieszkańcom Rzymu głęboko w pamięci.

W następnym roku, kiedy się zbliżał pierwszy dzień kwietnia, młodzież postanowiła całą noc czuwać, ażali bogowie nie obdarzą ich znowu śniegiem. Ale życzenie jej spełnić się nie mogło, gdyż czyste i pogodne niebo jaśniało od gwiazd niezliczonych. Tak zawiedzeni pospuszczali nosy, lecz nie tracąc fantazyi, uradzili przed wschodem słońca pospieszyć do swych domowników, krewnych i znajomych z tą nowiną, że bogowie znowu ich śniegiem obdarzyli, a gdy kto w ten sposób z pomieszkania zwabiony, na ulicy się pokaże i spyta: a gdzież ten śnieg? śmiać się z jego łatwowierności i jemu odpowiadać: *Prima Aprilis.* Co uradzili, to i wykonali. Ten niewinny figiel zwodzenia już pierwszym oszukanym bardzo się podobał, albowiem powróciwszy do swych domowników, budzili ich ze snu, zwodzili i *Prima Aprilis'em* obdarzali; lecz nie dość im tego było, pospieszyli do swych sąsiadów, by i tych zwodzić i z nich się także naśmiać do woli. To wprawiło znowu całą ludność Rzymu w ruch nadzwyczajny. Przez cały dzień nikt nie próżnował, tylko przemyśliwał, jakimby sposobem mógł zwieść drugiego i *Prima Aprilis'em* go obdarzyć. I ten pierwszy dzień kwietnia zapisał się mieszkańcom Rzymu niemniej głęboko w pamięci, co spowodowało, że pokaźna liczba mieszkańców na godne przyjęcie następnego pierwszego kwietnia cicho wedle możności należycie się przysposabiała.

Kiedy w następnym (trzecim) roku pierwszy dzień kwietnia zawitał, zawrzało na nowo. I tak: przyjaciel zawiadamia swych przyjaciół, że ciężko zachorował, i prosi ich, żeby przybyli na pożegnanie, bo łatwo być może, iż on już zachodzącego słońca nie zobaczy. Na wezwanie takie jeden i drugi przyjaciel spieszy do chorego, a przybywszy na miejsce, staje zdumiony, widząc przyjaciela przy dobrem śniadaniu; ten zaś wstaje, ściska serdecznie przybyłego, śmieje się z niego i obdarza go *Prima Aprilis'em.* Sąsiadka wzywa swe sąsiadki, aby przybywały podziwiać jej stroje i klejnoty, jakie otrzymała w darze; i tym także za ich łatwowierność dostaje się *Prima Aprilis.*

Takim i podobnie obmyślanym sposobem zwodzono się wzajemnie w kółkach domowych. Młodzież bez różnicy płci poszła za przykładem starszych, a nawet publiczność niższego rzędu nie próżnowała po za domem, na ulicach i placach publicznych; jednem słowem w całem mieście toczono cichą ale zaciętą walkę językową.

Odtąd pierwszy dzień kwietnia stał się dla Rzymian niejako dniem powszechnej radości i obchodzono go w następnych latach nietylko w Rzymie, lecz także i to z wielkiem zamiłowaniem w całem państwie rzymskiem. Tak więc powstał *Prima Aprilis.* Rzymianie zeszli już dawno z widowni świata, ale pozostały po nich zwyczaj zwodzenia się wzajemnego wije się jakby nić nieprzerwana od wielu już wieków po dziśdzień wśród narodów europejskich.

Obrazki z przyszłości. Wynalazek pancerza kulotrwałego, mimo że o jego zastosowaniu nic dotąd pewnego powiedzieć nie można, dostarczył już jednemu z fejletonistów wiedeńskich przedmiotu do skreślenia dwóch dowcipnych obrazków z przyszłości.

Oto pierwszy z nich:

„*Z placu boju.* Przeszło od tygodnia wre walka między dzielnym 3-cim korpusem naszej armii i przeważającym w sile nieprzyjacielem, a dotąd żadnej ze stron nie udało się choćby piędzi ziemi na przeciwniku pozyskać. Ogień rozpoczyna się codziennie o świcie, a kończy dopiero o zmierzchu. Nie licząc przypadkowych strzałów, które trafiały w głowy, nie ma dotąd ani w naszej, ani w nieprzyjacielskiej armii, poważniejszych obrażeń. Pociski odbijają się od kulotrwałych pancerzy żołnierzy, pozostawiając na ciele lekkie tylko kontuzye, które zresztą łatwo się goją pod działaniem arniki. We flaszeczkę tego środka medycznego każdy żołnierz został zaopatrzony. Lekarze zauważyli jednak, iż u niektórych słabszych indywiduów pojawiły się symptomy zatrucia ołowiem, a to wskutek leżącego dokoła w stosach ołowiu z pocisków nieprzyjacielskich. W pierwszych dniach nadto było dość rannych w odkryte części ciała, których też natychmiast po za linię strzałów usunięto. Na rozkaz głównego dowódzcy, strzelcy pierwszego szeregu, zabrawszy pancerze owych rannych, poosłaniali sobie nogi, ręce, a o ile możności i czoła, dzięki czemu stanowili rodzaj nienaruszalnego muru. Nieprzyjaciel spostrzegł wkrótce ten chytry manewr i zastosował go także u siebie; wieczorem zaś przysłał parlamentarza z białą flagą, z prośbą o dwugodzinne zawieszenie broni — „Z jakiego powodu?“ — zapytuje ponuro nasz komendant. „Musimy opróżnić nasze uniformy pancerzowe, które są naszpikowane ołowiem. Wy zresztą powinniście uczynić to samo“. „Tak, to słuszne“, odparł nasz dowódzca. W kwadrans później rozlegał się dokoła straszny łoskot, tak, iż okoliczna ludność ze zdziwieniem pytała: „A więc oni nawet po ciemku się biją?..“ Nie bito się jednak, lecz tylko wykuwano tkwiące w pancerzach pociski. Na najbliższe dni nie jest przewidywany inny rezultat, sprawozdanie następne więc, jeśli nie zajdzie coś nadzwyczajnego, pomieścimy dopiero po tygodniu“.

„*Pojedynek.* Wczoraj, w lasku pod Bruck nad Litawą, odbył się pomiędzy dwoma dżentlemenami pojedynek ze śmiertelnym wynikiem, za który wina spada na niedbalstwo służącego jednego z przeciwników. Zabity miał wprawdzie na sobie przepisany prawem kulotrwały kaftan pojedynkowy, niestety jednak, podczas ubiegłego lata, dostały się doń mole i właśnie na piersiach pewną część tego stroju zniszczyły. Nieszczęście chciało, że przy dwudziestej siódmej wymianie strzałów, kula przeciwnika trafiła w osłabione przez mole miejsce i płuca przebiła. Dowiadujemy się, iż przeciw służącemu zabitego wytoczoną została skarga, jego to bowiem obowiązkiem było zabezpieczyć strój swego pana za pomocą proszku od mólów. Zaniedbał tego i spowodował, iż tak w zasadzie nieszkodliwy już dziś pojedynek miał podobnie smutne i tragiczne zakończenie“.

Tajemnice tualetowe z przed 4.000 lat odkrył profesor chemii dr. Baeyer. Uczony rektor uniwersytetu monachijskiego poddał chemicznej analizie szminki, jakimi pokryte są mumie egipskie w Achmin i wyniki swych badań ogłosił w niemieckim *Przeglądzie Lekarskim.* Egipskie piękności używały preparatów z ołowiu, sprowadzonego z Indyi. Szczególniej zręczny był wyrób zielonej szminki, która służyła do nadania białku oka zielonego połysku. — Zwyczaj ten istnieje jeszcze wśród kobiet plemion arabskich i tatarskich. Prof. Baeyer odkrył owę szminkę na mumii księżniczki Ast, zmarłej przed 3.600 laty.

Pałac belwederski w Wiedniu stojący pustką od dwóch lat t. j. od czasu przeniesienia ztamtąd galeryi obrazów, ulega teraz gruntownej reparacyi, po której dokonaniu sprowadzi się tam arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este.

Zmarli. Aleksander Vimpeller, umarł we Lwowie, przeżywszy 66 lat. Śp. Aleksander, jako oficer wojsk austryackich, na pierwszy odgłos ruchów na Węgrzech w roku 1848, przeszedł granicę i zaciągnął się pod sztandar Bema. Po upadku powstania, skazany został jako dezerter z wojska austryackiego na 10 lat więzienia w Jozefstadzie. W siódmym roku odsiadywania kary, umknął z więzienia, ale pojmano go i musiał do końca odbyć karę. We Lwowie pracował śp. Vimpeller jako funkcyonaryusz w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. — Józef Wyrobisz, emerytowany referendarz magistratu krakowskiego, umarł w 76 roku życia. — W Poznaniu umarł Teodor Jakowicki, były profesor gimnazyum Maryi Magdaleny, członek Zarządu Towarzystwa przyjaciół nauk i prezes wydziału historyczno-literackiego. — Hipolit Kramarkiewicz, zdolny kompozytor, umarł w Poznaniu, przeżywszy 38 lat. — Seweryn Sawaszkiewicz, żołnierz z roku 1863, rodem z Litwy, umarł we Lwowie. — Józef Sowiński, żołnierz wojsk polskich z roku 1831, umarł we Lwowie w 82 roku życia. — Zygmunt Niżałowski, ogrodnik miejski, syn radzcy Namiestnictwa, umarł we Lwowie, w 32 roku życia. — W Turce koło Chyrowa, umarł w 3 wiośnie życia synek pp. Tadeuszów Pragłowskich, Lesio.

Stan powietrza. Termometr — 1° Reaumura o godzinie 7 zrana, a w południe + 5° Reaumura. Barometr 769. Idzie w górę. Dzień jasny i pogodny, ale ciągle trwa ostry wiatr północny.

W szkole.

— Jeżeli powiem: piszę wiersze, jaki to będzie czas?

— Stracony...

Teatr. Dziś w piątek po raz pierwszy: „Pan Poseł“, komedya w trzech aktach Adolfa Abrahamowicza. — Jutro w sobotę przedstawienie składane i „Rycerskość wieśniacza“ („Cavaleria Rusticana“), opera w jednym akcie Mascagni'ego.

Kochawina. Dalsze ofiary na kościół N. M. P. cudami słynącej, od 6 września do 31 grudnia 1892.

Kobyliński 2, Denisiewicz 1, Lewińska 1, Dr. Domaszewski 10, E. N. o opiekę nad Maryankiem 2 złr., Gembarzewska ze Lwowa dziękując za wyratowanie od śmierci 1, M. B. z Jaworowa o zdrowie dla męża 2, Bazali z Bukowiny o opiekę 1, Sołtyski z Ożydowa za łaskę przy egzaminie syna 1. Zwolski 5, Łucyszyn ze Sarnek 5, Figul 5, M. N. z Jarosławia o spełnienie zamiarów 2, A. H. z Cieszanowa o opiekę 1, Grochowalska z Waniowa o spełnienie ważnej sprawy 2, Passakas z Zastawny 60, K. N. z Sz. 1, F. H. ze Lwowa o błogosławieństwo 1, M. D. o zdrowie dzieci i polepszenie losu 0·50, Lewicka z Drohobycza 50, Kołkowska z podziękowaniem M. B. za uratowanie życia i zdrowia 5, Kołkowska o zdrowie 1, Kościuk 0·50, N. N. 0·70, Lewandowska z Biłki o zdrowie 2, Czajkowska z Drohobycza 1, Michalczewska 6, Vrabetzowa 2, Orzechowska z Pczan 10, Kański 3, Wierzchowska z Bóbrki o wyzdrowienie dziatek 1, Gorzejewska o zdrowie dla wnuczek 3, Zarzycki ze Szlachciniec o zdrowie 1 i na m. św, sierota A. o spełnienie życzeń 1, Bieńkowska o wyratowanie męża z ciężkiej słabości 2 i na m. św., Mroczkowska o zdrowie dla rodziny 2 i na m. św., E. J. stroskana matka o przywrócenie zgody w małżeństwie 1, Jastrzębska z Dynisk z prośbą o błogosławieństwo rodziny 3, Jaworska na intencyę dzieci 1, Tomków z Reklińca za zdrowie 1, Anczakowski z Żydaczowa 5., H. hr. Ł. z Czyszek dziękuje za uzdrowienie dziecka 3, Hołoszniakowa o opiekę M. B. 1, Passakasowa z Bukowiny o zdrowie dla ukochanej osoby 2, Lacki z Sokołówki z gorącą prośbą o uzdrowienie ciężko chorego dziecka 1, Ks. Malarski od P. Kowalskiego 10, Dobniewicz 5, Sawczynowa z Nadyb 1, Kieszkowska z Krakowa za zdrowie całej rodziny 3 i na mszę św., Załuska ze Zbaraża 2, Ks. Jaszowski ze Lwowa 5 i na m. św., Pieńczykowska ze Strychaniec 2, Tchórznicka ze Lwowa 5, Baczyńska 2, Baczyńska 2, Slawikowa z Brzozowa dziękując za uzdrowienie syna 2, Marya H. z Krakowa dziękując za ulgę w cierpieniu 1 i na m. św.

Ks. Jan Trzopiński
administrator parafii, p. Żydaczów.

Do dzisiejszego numeru dołączamy tylko dla prenumeratorów miejscowych odezwę p. n. „W sprawie tramwaju lwowskiego“.

Literatura i Sztuka.

* **Rocznik samborski**, książka zbiorowa, zawierająca nowele, artykuły naukowe i poezye, wychodzi od lat szesnastu pod redakcyą G. Kohna. W ostatnim tomie znajdujemy kilka udatnych utworów jak: dramat „Konrad Mazowiecki“, wierszem przez Bolesława Andruszewicza, utwór posiadający wiele zalet; studyum z zakresu bakteryologii przez Zygm. Morawskiego; nowela z życia żydów galicyjskich przez A. Kallasa i wiele innych. Wiersze natomiast są słabsze; na pochlebną wzmiankę zasługują tylko wiersze Emila Hołoda, Błękitnej i Zenona Młota.

Książka obejmująca z górą 400 stronnic, zawiera kilka ładnych illustracyi i świadczy o pracowitości wydawcy.

* **Im Reiche des Geistes.** Pod tym tytułem, nakładem ruchliwej firmy A. Hartlebena w Wiedniu, wychodzi piękne dzieło, w którem streszczone będą dzieje nauki i umiejętności od początku świata aż po dzień dzisiejszy. Po kolei przedstawione będą dzieje nauk przyrodniczych, chemii i fizyki, matematyki i geometryi, geografii i historyi, teologii i filozofii, ekonomii, prawa, medycyny itd.

Całe dzieło wyjdzie w trzydziestu zeszytach i obejmie przeszło sześćdziesiąt arkuszy druku oraz kilkaset ilustracyi. — Cena zeszytu wynosi 30 ct. Pierwszy zeszyt już wyszedł i można go nabyć w księgarniach.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 kwietnia.

(*Z*). Widocznie uznali spekulanci giełdowi, że kursa za daleko już zaszły i że nie ma żadnego rozumnego powodu jeszcze wyżej je śrubować. To też spieszy się każdy ze sprzedażą, aby inkasować piękny zysk, osiągnięty z niebywałej zwyżki, która trzy miesiące bez przerwy trwała. Ta tendencya do zrealizowania pozycyi zwyżkowych wyłoniła się wczoraj, a dziś objęła cały targ i chociaż nie było żadnego motywu, któryby bodaj pozornie mógł usprawiedliwić ten zwrot tendencyi, kursa spadały bez przerwy. Prąd ten o ile się zdaje, trwać będzie jeszcze kilka dni, dopiero gdy poziom kursów obniży się o kilkanaście guldenów, rozpoczną się znów operacye zwyżkowe. Kontrmina berlińska zwietrzyła na co się zanosi i dziś przedsiębrała już wielkie sprzedaże *in bianco.*

Z targów zagranicznych nie wiele dziś można donieść. Zanotować tylko wypada ponowny spadek rubli w Berlinie, wywołany niekorzystnemi wiadomościami o stanie zasiewów ozimych w Rosyi. — Paryska giełda nie jest zadowolnioną z nowego gabinetu, najbardziej niesympatycznym dla niej jest nowy minister finansów Peytral.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 355·30, węgierskie 413·25, Anglobanki 155·—, Uniony 261·—, Bankvereiny 130·—, Landerbanki 258·30, Ludwiki 219·40, Czerniowieckie 261·—, Renta papierowa 98·80, srebrna 98·65, austryacka złota 116·95, 4% austr. renta wal. kor. 96·95, węgierska złota 115·95, 4% węgierska renta wal. kor. 95.55, dukat 5·72, 20-frankówka 9·66½, marki 11·89—, ruble 1·24¾.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 1800 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 34—37 zł. za towar przedni 37—42 zł. za 100 kilo żywej wagi.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 3884 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 562 sztuk opasowych i 94 chudych; zatem o 392 mniej niż w zeszłym tygodniu. Nie sprzedano 135 sztuk.

Płacono: galicyjskie 52 do 61·00 zł., węgierskie 52—63·00 zł., z innych krajów koronnych 53 do 65·00 zł., krowy 22—27·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 50 do 98 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu“.

Praga 7 kwietnia. Sejm czeski rozpoczął wczoraj obrady. Młodoczesi i staroczesi wnieśli interpelacyę w sprawie konfliktu między radą miejską w Pradze a namiestnictwem. Rada miejska bowiem wystosowała do namiestnika memoryał, w którym użalała się na nieprawidłowości jakie się dzieją w radzie szkolnej i domagała się ich usunięcia, namiestnik wszakże zwrócił ten memoryał z uwagą, że rada miejska nie ma prawa mięszać się w agendy rady szkolnej, która podlega wyłącznie tylko nadzorowi namiestnictwa.

Następne posiedzenie sejmu odbędzie się w poniedziałek.

Sofia 7 kwietnia. Książę Ferdynand odjechał wczoraj z wielkiem orszakiem do Wiednia. Ślub księcia odbędzie się 20 kwietnia.

Peszt 7 kwietnia. Sejm obradował wczoraj nad budżetem obrony krajowej. Stefan Nagy postawił wniosek, aby w obronie krajowej zaprowadzono wyłącznie węgierskie barwy i sztandary, tudzież, aby utworzono instytut wychowawczy dla córek oficerów węgierskiej obrony krajowej na wzór instytutu takiego, istniejącego w Hernalsie.

Hr. Albert Apponyi w długiej mowie domagał się utworzenia w Węgrzech akademii wojskowej z węgierskim językiem wykładowym. (Mowę Appony'ego oklaskiwano gorąco na ławach lewicy).

August Pulszky występował przeciw podziałowi korpusu oficerskiego na oficerów armii czynnej i obrony krajowej.

Dep. Ugron wniósł interpelacyę, w której domagał się wyjaśnienia, czy ukarano pewnego pułkownika, który podczas najostrzejszych mrozów kazał żołnierzom wczesnym rankiem ćwiczyć się w otwartem polu.

Prezes ministrów Weckerle odpowiedział, że pułkownik ów, znany z nerwowego usposobienia, został usunięty.

Burzliwą scenę wywołała odpowiedź ministra obrony krajowej na interpelacyę Horvatha. W interpelacyi tej zarzucił Horvath, że wielu jednorocznych ochotników w Koloszwarze, pomimo że złożyli przepisany egzamin, nie zamianowano oficerami, jedynie dlatego, że w restauracyi śpiewali pieśni na cześć Koszuta.

Minister Fejervary odpowiedział, że nie to było powodem pominięcia tych ochotników przy awansie, lecz to, że w obecności rodzin oficerskich zachowywali się nieprzyzwoicie.

Dep. Horvath zarzucał ministrowi kłamstwo, skutkiem czego powstał w sali ogromny hałas.

Następne posiedzenie odbędzie się dziś.

Neapol 7 kwietnia. Cesarzowa austryacka udała się wczoraj po południu na jachcie „Miramare“ na wyspę Capri, a stamtąd popłynęła w nocy wprost do Korfu.

Berlin 7 kwietnia. Rada honorowa tutejszej izby adwokackiej udzieliła nagany adwokatowi Hertwigowi za to, że przyjął obronę Ahlwardta i podczas tej obrony kilkakrotnie występował namiętnie przeciw żydom.

Belgrad 7 kwietnia. Pierwsze posiedzenie skupczyny odbyło się wczoraj. Przybyli na nie wszyscy posłowie i ministrowie. Liberalna większość powołała na przewodniczącego najstarszego wiekiem posła, ministra oświaty Georgewicza, który objąwszy przewodnictwo zarządził wylosowanie komisyi. Radykałowie sprzeciwiali się temu gwałtownie, żądając, aby naprzód odczytano imienny spis posłów, nie wyłączając posłów z okręgu rudnickiego, przeciw których wyborowi wniesiono protest.

W ten sposób bowiem pokaże się, że radykalne stronnictwo rozporządza akurat tylu głosami, co liberalne.

Minister spraw wewnętrznych sprzeciwił się odczytaniu nazwisk. Wywiązała się namiętna debata. Radykałowie pod przewodnictwem Pasicza i Sawy Gruicza wyszli ostentacyjnie z sali, a zostali tylko liberałowie i dwaj postępowcy Garaszanin i Nowakowicz. Wówczas wystąpili obaj postępowcy z zarzutem, że skupczyna nie może obecnie powziąć żadnej uchwały, gdyż nie ma w niej kompletu 68 posłów, jakiego wymaga konstytucya. Po tem oświadczeniu wyszli także obaj postępowcy z sali.

Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że jest komplet, bo wedle konstytucyi składać się ma skupczyna z 125 posłów, a nie ze 134, uchwalona bowiem swego czasu przez radykalną skupczynę zmiana ordynacyi wyborczej powiększająca liczbę posłów o 9 sprzeciwia się konstytucyi. Minister odwołuje się do tych posłów, którzy pozostali w sali, aby bronili konstytucyi wśród tak ciężkich warunków.

Po tem oświadczeniu ministra wylosowano sekcye i komisyę weryfikacyjną.

Rząd postawi w skupczynie wniosek o unieważnienie wyboru wszystkich radykalnych posłów i obu postępowców, spodziewa się bowiem przy ponownym wyborze zdobyć kilka mandatów.

W mieście panuje spokój.

Paryż 7 kwietnia. W izbie deputowanych i w sejmie odczytano wczoraj deklaracyę nowego gabinetu. W deklaracyi tej konstatuje gabinet, że w całym kraju panuje jak największy spokój i niewzruszone zaufanie do republiki. To też można z otuchą patrzyć w przyszłość. Powszechne prawo głosowania sprowadza niemal z każdym dniem coraz większą harmonię między demokratycznemi aspiracyami a urządzeniami republikańskiemi. W końcu wzywa rząd do wspólnej pracy wszystkich, którym dobro Francyi i republiki leży na sercu. Deklaracyę tę przyjęto oklaskami.

Następnie uchwaliła izba ostatnie rubryki budżetu i przyjęła cały budżet w trzeciem czytaniu w tej samej formie, w której go poprzednio uchwaliła. Minister finansów przyrzekł, że skłoni senat do odstąpienia od uchwalonych poprzednio poprawek.

W senacie przedłożył minister finansów nowy projekt ustawy o podatku giełdowym.

Budżet przekazał senat swej komisyi budżetowej, poczem odroczył się do 25 kwietnia. Także izbę odroczono do 25 kwietnia.

Wiedeń 7 kwietnia. Książę bułgarski przybył dziś tu rano. W orszaku jego znajdują się ministrowie Stambułow i Greków, tudzież prezes sobrania Petkow.

Przyjechali do Lwowa

dnia 7 kwietnia 1893.

HOTEL CENTRALNY. L. Żytyńska z Strutyna. R. Richter z Berna. Ks. Puchalski z Łąki. Ks. Fałat z Medyki. Ks. Kuczyński z Kołomyi. L. F. Piątkiewicz z Tarnopola. M. Holzer z Krakowa. F. Biliński z Leśniówka. M. Weberowa z Zagórza. W. Wania z Bukowiny. W. Balicka z Wykoty. St. Tokarski z Brodów. St. Leśniak ze Stanisławowa. A. Łodyński z Milatyna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 7 kwietnia godz. 2. min. —

Akcye kred.	358.35	Galicyj. obligi propinacyjne	96·80
Alpiny	56·10	Wied. losy	178·—
Kredyty węg.	415·25	Akcye tyton.	184·25
Anglobanki	158·—	Austr. renta p.	96.90
Uniony	265.50	Elbethale	243·25
Ludwiki	219·50	Länderbanki	261.40
Nordbany	295·50	Renta zł. węg.	115·95
Lombardy	116·15	Bankvereiny	130·60
Losy tureckie	52·90	Węg. renta p.	95·50
Staatsbahny	308·35	Ruble	1·26·—
Czerniowieckie	264·50		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 7 kwietnia 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego / bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	218	50	221	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	260	—	263	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	365	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	101	10	101	80
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% nieokr.	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ 41½	97	—	—	—
„ „ „ 4% „ 52 l.	100	60	101	30
„ „ „ 4 „ 58	97	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	105	—	—	—
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	90	97	60
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	—	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	102	—	—	—
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	104	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	100	50	101	20
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	25	[illegible]	—
„ „ Stanisławowa	35	—	38	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.68		5.78	
Napoleondor	9.63		9.73	
Półimperyał rosyjski	9.70		—.—	

19)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Była bardzo blada, a twarz jej miała surowy i zamyślony wyraz; nie zwróciła też żadnej uwagi na mnie. Zdjęta trwogą, spoglądałam na nią, nie śmiąc pytać o nic. Nalała sobie kieliszek wina i wypiła go duszkiem; potem nałożyła kawałek mięsa na talerz i próbowała jeść, ale ręce jej trzęsły się nerwowo i apetyt snadź nie przychodził na zawołanie, bo po chwili położyła nóż i widelec i przysunęła krzesło swoje do kominka, na którym płonął jasny, polankowy ogień.

— Nie mogę — rzekła sama do siebie — nie mogę. Jedzenie dławi mnie w gardle.

Przyczołgałam się do niej i przytuliłam głowę do jej kolan. Wspólność cierpienia zbliżyła nas do siebie, bez wymiany jednego słowa. Dłoń jej drżąca spoczęła na moich włosach i opadła wkrótce. Wyczerpana z sił znana opiekunka moja zasnęła, a ja, wpatrzona w dogasające głownie, siedziałam u nóg jej nieruchoma, z obawy, aby jej nie zbudzić. Raz węgiel płonący stoczył się z kominka, a ciotka jęknęła wewnętrzną, nieuśpioną troską i poruszyła się niespokojnie.

Potem znów staroświecki zegar metalicznym dźwiękiem wydzwonił godzinę, ale ciotka jej nie słyszała i spała dalej, gdy naraz szybkie kroki dały się słyszeć w korytarzu i jednocześnie czyjaś dłoń spoczęła na klamce.

Zerwałam się na równe nogi. Doktor Topham stanął w progu.

— Niebezpieczeństwo minęło — rzekł głęboko wzruszony. — Obudził się przytomny... Pytał o panią... Będzie żył...

Ciotka podniosła się z krzesła, usłyszawszy te słowa, ale musiała usiąść napowrót. Zakryła oczy ręką, a po chwili rzekła bardzo słodko i wyraźnie:

— Chwała niech będzie Bogu Najwyższemu!

Ja zaś wybuchłam głośnym i niepowstrzymanym płaczem, czując, że nadmiar radości rozsadza mi serce.

ROZDZIAŁ XII.

Jesteśmy w wytwornie umeblowanym pokoju, którego okna wychodzą na ogród. Ściany zawieszone są obrazami, wśród których wspinają się półki zapełnione poważnie wyglądającemi książkami, oprawionemi w czerwony safian i bronzową, złoconą skórę. Nad kominkiem wisi owalny portret, przedstawiający ciemnowłosą kobietę z upudrowaną fryzurą, wysoko piętrzącą się nad czołem. Drugi portret mężczyzny w peruce i koronkowych żabotach, zwiesza się nad drzwiami. Staroświecki klawikord stoi w rogu, a na nim postawione różne kosztowne fraszki z porcelany i kości słoniowej, misternie rzeźbionej. Duży, chiński, pozłacany parawan stoi rozstawiony do połowy pokoju; na marmurowym kominku płonie jasny ogień, a czarny kot drzemiący na niedźwiedziej, rozesłanej na podłodze skórze, zdaje się rozkoszować jego blaskiem. Też samo czyni mężczyzna wyciągnięty na sofce, tuż obok, z oczyma leniwie przymkniętemi, niebaczny na gazetę, która wysunęła się z rąk jego na ziemię.

Na dworze słońce przyświeca jasno, ale tu promienie jego dochodzą przyćmione. Jeden z nich tylko, przekradając się przez ponsowe, jedwabne zasłony weneckiego okna, ozłaca złotą strzałą muska pochyloną główkę dziewczynki, na wpół siedzącej, na wpół leżącej na dywanie wśród całego stosu szkiców i akwareli. Ten próżnujący mężczyzna, to Hugon Farghar, a ta pracowita dziewczynka, to ja.

Ale niestety! był on zaledwie cieniem samego siebie. Ogorzała słońcem południa, męzka twarz jego przybrała woskową bladość, a z zapadłych policzków jego chorobliwe rozszerzone źrenice świecą gorączkowym blaskiem. Broda jego też wyrosła długa, a ręce białe i wydelikacone, niby kobiece dłonie, bezsilne są jak u dziecka. Sprzeczność między jego dawną męzką energią i siłą, a dzisiejszem wycieńczeniem bolesne sprawia wrażenie. Wygląda on jak zdruzgotany w swej potędze Herkules. Widząc, że zasnął spokojnie, siedzę cichutko, rozkoszując się przeglądaniem szkiców, rzuconych na papier jego drogą, [illegible] ręką.

Czarne kłęby świerków i cyprysów, rozrzucone pod włoskiem, pogodnem niebem; piaszczyste wydmy pustyni spalonej żarem słońca, po których powoli przeciąga karawana, złożona z ludzi i wielbłądów, kaktusowe lasy algierskie; srebrne zakręty indyjskiej rzeki, ujętej w zielone ramy bujnej, podzwrotnikowej roślinności, ozdłągającej się łodygami po powierzchni sennych fal — oto widoki fantastyczne jak sen, które przesuwały się przed mojemi oczami.

W końcu trafiłam na obrazek, który żywiej pobudził moją ciekawość. Przedstawiał on śnieżny, alpejski krajobraz, na górskiem tle którego kilka ludzkich postaci grupowało się na odłamie skały, sterczącej po nad przepaścią. Jeden mężczyzna leżał rozciągnięty na śniegu, a trzech innych, odzianych w baranie kożuchy, stało dokoła niego, opierając się na ostro zakończonych kijach. Białe mgły, jak przejrzyste opary, rozpływały się pod ich stopami, a szczyty gór strzelały dumnie ku niebu po nad ich głową. Zaciekawiona, pomimowoli siliłam się odgadnąć, kto byli ci ludzie? co oni tam robili? czy ten, co leżał na ziemi, był zabity, czy raniony? i kto go ranił?

— Tam czemże tak głęboko zamyśliła się, signorino? — zapytał Hugon znienacka.

Milcząc pokazałam mu szkic: on spojrzał i uśmiech zniknął z jego twarzy.

— A! to smutne wspomnienie! — rzekł. — Odłóż to na bok, moja maleńka.

Uczyniłam jak mi kazał i usiadłam na zwykłem miejscu, to jest na zwykłym taborecie u nóg jego.

— Wiem, że ten obrazek przedstawia prawdziwą scenę — odezwałam się po chwili prosząco. — Opowiedz mi, co to było, Hugonie.

Przymknął oczy, jakby chcąc oddalić przykre jakieś widzenie i przecząco potrząsnął głową.

— Dlaczego, maleńka? — rzekł. — Toby cię zasmuciło.

— To nic, Hugonie. Ja lubię być czasem smutną.

— I ja także, *mignone*. Jest to wykwintne upodobanie, które ty i ja dzielimy razem z poetami. Wszak to Beaumont powiada: „Nie ma na świecie nic słodszego, nic rozkoszniejszego nad melancholię, słodką, zapożenną melancholię!" Dziwna z ciebie dziewczynka, Barbarino! Ciągle zapominam, że ty dziecko jeszcze i przemawiam do ciebie, jak do dorosłej kobiety. Pokaż mi ten szkic.

Podałam mu go skwapliwie, a on wskazując palcem, rzekł:

— Ten wystający odłam skały wznosi się na cztery tysiące stóp nad tą oto doliną, położoną w głębi. Ta wązka ścieżyna wiedzie do górskiej wioski, nazwiskiem Grieux, leżącej o wiele set stóp poniżej w zacisznem gniazdku zieleni, zasłoniętem od śniegów, które tam na szczytach spadają nawet letnią porą. Ludzie ci, których tu widzisz, są Tyrolczykami, których znałem dobrze, gdy kilka miesięcy przemieszkałem w ich chacie, zabawiając się kreśleniem pejzaży w wartkich, chłodnych strumieniach górskich, zdejmowaniem szkiców z malowniczej przyrody i polowaniem na dzikie kozy. Franciszek był moim przewodnikiem i codziennym towarzyszem wspólnych wycieczek w góry.

— Którzy jest Franciszek? — przerwałam zaciekawiona.

Wskazał mi na rozkrzyżowaną na ziemi martwą postać i zmienionym głosem ciągnął dalej:

— Ten starzec o siwej brodzie jest to stary Loiset, ojciec wszystkich trojga. Franciszek był jego młodszym synem. Tamci dwaj, Jan i Jacek, byli to dobrzy chłopcy, ale Franek był najsprytniejszy z nich, przystojny, dzielny, odważny jak lew, a serce miał tak czułe i współczujące, że widziałem go sam, jak raz zranione ptaszę przyniósł z lasu i pielęgnował je w swej własnej izdebce, dopóki wyleczone nie mogło na wolność. Pewnego dnia postrzeliłem kozę stojącą na skale. Spadając, zaplątała ona nogi w pęki krzewów rosnących na stoku przepaści. Franek uparł się pójść ją uratować; musiał jednakże dla dokazania tego obejść górę dokoła i nadłożyć przyjaźniej mili drogi. Gdy odszedł, wyjąłem album i naszkicowałem tę scenę. Po upływie pewnego czasu ujrzałem go stojącego na szczycie wystającej ostrej skały i widziałem w powietrzu kapeluszem na znak powitania. Zwinny jak aksamitna kozica spuszczał się niżej i coraz niżej w głąb parowu, aż już parę kroków zaledwie dzieliło go od uwięzionego zwierzęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.